Nr. 47. Warszawa, dnia 7 (19) Listopada 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Tydzień polityczny. Mowa Salisburego i zbrojenie się Anglii, choć łagodniej już prowadzone, ale jeszcze niezaniechane, nowe postanowienie sądu kasacyjnego w procesie rewizyjnym Dreyfusa, wybory w Stanach Zjednoczonych, termin dany Hiszpanii do namysłu, czy odstąpić Filipiny? -- składają się na charakterystykę obecnego położenia politycznego.

„Wojownicza mowa pokojowa“ Salisburego, jak ją nazwano, pozostawiła po sobie nieznikłe jeszcze wrażenie energii, gotowej bronić swych interesów orężem. Pojęcia tych interesów nie zacieśnia Salisburya ani w Faszodzie, o którą Francuzi walczyć nie myśleli, ani nawet w całym Egipcie wraz z Sudanem: rozpościera je na cały obszar panowania angielskiego na ziemi. Zbrojnie stać powinno się wszędzie, gdzie się już raz stanęło. Czasy rozzbrojenia się jeszcze nie nadeszły. Nowe mocarstwo wystąpiło na widownię świata, a wystąpienie to, choć niepożądane dla pokoju, pożądanem jest dla interesów Anglii. To wynurzenie mówi aż nadto wyraźnie o porozumieniu się ze Stanami Zjednoczonymi, widocznem od początku wojny z Hiszpanią, i nie potrzeba już stukać palcem o palec, aby wiedzieć, z kim Anglia idzie teraz krok w krok w dyplomacyi i z kim gotowa jest pójść i pójdzie w wojnie.

Sąd kasacyjny d. 15 b. m. postanowił zawiadomić Dreyfusa o przyjęciu skargi rewizyjnej. Stało się to po wysłuchaniu dawnych ministrów wojny, Merciera, Cavaignaca, Zurlindena, po przejrzeniu akt, a może i owego *dossier*, na którym generałowie położyli sekwestr, po całem przedwstępnem, a na najważniejsze tylko okoliczności zwróconem, badaniu: musiał zatem wynik tego badania utrzymać nietkniętem domniemanie niesprawiedliwości wyroku z d. 22 grudnia 1894 r. Na tej sprawie nieszczęsnej zarobi wogóle sprawiedliwość francuska, mianowicie wojenna: obie Izby postanowiły prawie przez aklamacyę rozpatrzyć wniosek socyalistyczny, aby prawo z d. 8 grudnia 1897 r., dopuszczające obrońców do śledztw cywilnych, zastosować i do wojskowych. Atmosfera zaczyna się oczyszczać; jest nadzieja, że Freycinet pootwiera drzwi i okna w swem ministeryum (wraz ze sztabem), przewietrzy je, wypuści wszelkie zaduchy, powyrzuca gniazda stęchlizny i zgnilizny, których liczbę i natężenie rewizya procesu Dreyfusa może tylko w świadomości powszechnej zwiększyć; to, co już teraz jest pewnem, wystarcza do pobudzenia uczciwej i rozumnej energii. Niechby ją nawet krępowano: tem lepiej; wrzód prędzej pęknie.

W Stanach Zjednoczonych, jako w roku parzystym, były teraz, na początku listopada, wybory i do ciał i władz miejscowych w Stanach i do kongresu Unii. Przewagę w miejscowych wyborach mają demokraci, w związkowych — republikanie. W Izbie reprezentantów zasiądzie około 180 republikanów i stu sześćdziesięciu kilku demokratów, wraz z pomniejszemi stronnictwami. Z tych Populucyoniści, radykaliści społeczni, przeprowadzili w Dakocie wybór gen. Lee, którego pragnęliby wynieść na prezydenturę po Mc Kinleyu.

Stany Zjedn. dały Hiszpanii termin do 15 b. m. na poddanie się żądaniu całego archipelagu filipińskiego. Odmowa sprowadzi najazdy i napaści na porty i okręty hiszpańskie. I republikanizm zatem ma międzynarodowe zęby. Oczywiście, Hiszpania się podda. Nawet jej odwołanie się do mocarstw pozostanie w głębi jej piersi. Mocarstwa, jeśli nie chcą wojny, nie dadzą nawet krzywdzonej przystępu do siebie. Tak się toczą sprawy świata: ludzkość, kultura, cywilizacya, altruizm, miłość bliźniego nawet — wszystko jest, ale wszystko z pazurami. I ideał bez pazura nic nie znaczy.

W Grecyi Zaimis przebudował sobie gabinet.

Cesarz Wilhelm d. 15 b. m. zawitał do Malty. W cesarstwie wrzenie o telegram do regenta w Lippe - Detmold. W Prusiech prześladowanie Polaków.

Sprawy austro-węgierskie — do przyszłego tygodnia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŹRÓDŁA „PRZESĄDÓW.“

W krajach stojących wysoko pod względem kulturalnym, w których dobro i zadania społeczne są najważniejszym programem życia i rozwoju, spostrzegamy pewną znamienną dążność praktyczną i moralną do uprzystępnienia ogółowi szpitalów i wyrobienia dla nich zupełnego zaufania mas. Jakoż istotnie zyskują one coraz szersze uznanie.

U nas już nieraz starano się przekonywać społeczeństwo, że szpital jest zakładem zbawiennym, że można w nim znaleźć rękojmię sumiennej pomocy, wyzdrowienia łatwiejszego, niż w domu. Pomimo to jednak zakłady owe są postrachem całych mas ludności. „Przez szpital droga na cmentarz.“ — Tak mówią powszechnie i boją się go, jak nieszczęścia, jak śmierci. Bezwzględni zwolennicy publicznych instytucyj leczniczych nazywają to przesądem. Jeżeli wszakże ten „przesąd“ weźmiemy ze strony realnej, czysto rzeczowej, jak również psychologicznej, znajdziemy bardzo poważne i racyonalne usprawiedliwienie tych obaw i wstrętów.

Szpitale przedewszystkiem robią pognębiające wrażenie na chorego w salach ogólnych, gdzie on widzi mnóstwo cierpiących bez nadziei, często jest świadkiem konania i przerażająco obojętnego obchodzenia się służby ze zmarłymi lub konającymi. To jest niezmiernie ważny czynnik psychologiczny, który niewątpliwie pogarsza stan zdrowia ludzi wrażliwych, a nawet i o śmierć przyprawia. Nie ulega bowiem dziś już żadnej wątpliwości, że czynniki duchowe odgrywają wielką rolę w stanie zdrowia ludzi i nieraz wzbudzająca otuchę twarz lekarza, jego całe obejście się w ciężkich nawet chorobach bywają skuteczniejsze, niż recepta. Wyobraźmy sobie teraz fatalne otoczenie sali szpitalnej, opryskliwą, brutalną, cyniczną służbę, surową, rzadko pojawiającą się twarz lekarza obojętnego, urzędowo badającego: „Jak się *chory* ma? „Niech *chory* pokaże gardło, język“ itd. Dodajmy jeszcze tę świadomość chorego, że jest on *numerem* w szpitalu, że nad łóżkiem jego wisi tablica, z której jeżeli umie czytać i trochę zna terminologię lekarską — może się dowiedzieć o rodzaju choroby, a więc nieraz wy-

roku śmierci na niego. Dla mas „ciemnych,“ „szorstkich“ i „obojętnych na życie,“ wszystko to mogą być w pojęciu inteligencyi, czynniki zanadto subtelne, nieusprawiedliwiające dostatecznie wstrętu do szpitala. Weźmy inny dowód, który do głębi wstrząśnie chyba nawet najbardziej odrętwiałą duszę. Niedawno ze szpitala uciekł mieszkaniec Tyraspola, nieopodal Odesy. Zapytany, co go skłoniło do kroku tak szalonego, opowiedział następujący straszny wypadek: Na sali ogólnej umarł jeden z chorych. Posługacze przynieśli trumnę, ale ponieważ okazało się, że jest za krótka, więc poszli po siekierę i po chwili wróciwszy, urąbali stopy zmarłemu w obecności wszystkich, jak się urąbuje nogi wołu w jatce. Zrobiło to niewypowiedzianie straszne wrażenie na chorych, a jeden najwrażliwszy, bez względu na stan swego zdrowia, umknął ze szpitala, w obawie, ażeby i jego taki sam los nie spotkał po śmierci.

Jest to fakt istotnie wyjątkowy. Ma wszakże ogólne bardzo ważne znaczenie. Rzuca bowiem ponure światło na całą organizacyę pomocy szpitalnej i jest zarazem najsilniejszym, ale nie jedynym dowodem okropnego stanu pomocy szpitalnej. Na brak dozoru, usługę niedbałą, brutalną i nawet okrutną, chorzy skarżą się niemal powszechnie we wszystkich szpitalach, zarówno wielkomiejskich, jak i prowincyonalnych. „Z tych licznych faktów i skarg można wyprowadzić jeden wniosek nieomylny, że służba szpitalna jest zbieraniną przypadkową, że obowiązki posługaczów pełnią w większości tacy ludzie, którzy nigdzie innego zajęcia znaleźć nie mogli, częstokroć skutkiem braków fizycznych. Tak np. podobno bardzo wielu jest z wilkiem nosa; a przecież już sama ta choroba powinna być warunkiem, zamykającym wstęp do posługi szpitalnej.

Jeżeli wszakże rozejrzymy się bliżej w stosunkach zakulisowych gospodarki tych instytucyj publicznych, to znajdziemy bardzo poważne okoliczności, które łagodzą i szorstkość, i niedbalstwo, i nawet cynizm posługaczów. Tak np. w szpitalach warszawskich uznano, że wynagrodzenie służby tej kategoryi jest niedostateczne; postanowiono więc podwyższyć je aż... o rubla miesięcznie. Dziś tedy mężczyzna pobiera *pięć*, a kobieta *cztery* ruble miesięcznie. Nadto zwiększono liczbę służby, tak iż dziś na każdego posługacza przypada 8—12 chorych (dawniej 15—20). Mimo tych ulg pozornych, służący szpitalny czuwa 14—15 godzin na dobę (wstaje o g. 5-ej rano, idzie spać najwcześniej o 9-ej wieczorem). Przez cały dzień zajęty jest prawie bez przerwy robotą uciążliwą i wstrętną. Musi prześcielać łóżka, dźwigać chorych, wynosić nieczystości, zamiatać itd. Po dyżurze nocnym ma prawo przespać się kilka godzin rano na podłodze śród chorych. Wogóle szpitale warszawskie dotąd jeszcze nie posiadają pomieszczenia osobnego dla służby. Tula się ona po kątach, spędza nawet najcenniejsze godziny snu śród chorych i za to wszystko, oprócz nędznej płacy, ma wikt lichy, gorszy, niż w domach średniozamożnych dostaje psiarnia. Poddając się takim okropnym warunkom, posługacz szpitalny jest jednocześnie zupełnym niewolnikiem. Nie ma jednej godziny dziennie wyłącznie dla siebie, nie ma świąt i niedzieli.

Czy wobec tego można się dziwić, że ludzie ci, najczęściej ułomni moralnie i fizycznie, są okrutnymi i brutalnymi dla chorych, że obowiązki swoje spełniają niedbale, niesumiennie, że nawet częstokroć są tyranami i postrachem dla chorych?

Ażeby usunąć to złe, które śmiało można nazwać klęską społeczną, trzeba przedewszystkiem wprowadzić zmiany zasadnicze, dać lepszą płacę, lepsze warunki mieszkania i utrzymania, a następnie zrobić staranniejszy wybór ludzi. Na barkach służącego szpitalnego spoczywają bardzo ważne zadania, wymagające zaparcia się siebie i zupełnego poświęcenia. Obowiązki te powinny więc być przyjmowane nie jako ostateczny środek ratunku przed śmiercią głodową, lecz jako zadania, wymagające sporej dozy miłości bliźniego. O ludzi takich bardzo trudno; ale naprawa warunków pracy i bytu może ułatwić ich znalezienie. W szpitalach dla obłąkanych istnieje inny system, niż w ogólnych. Tam pensye podzielono na dwie kategorye: 80 i 100 rb. rocznie. W miarę gorliwości służby płaca jest podwyższana, z bardzo dodatnim rezultatem moralnym. To też służba w tych zakładach trzyma się długo, nabiera doświadczenia, wyrabia w sobie cechy bardzo pożądane. W szpitalach ogólnych dzieje się odwrotnie. W ciągu roku przepływa tam mnóstwo ludzi niezdatnych i nieodpowiednich. Większość ucieka, bo nie może wytrzymać w tak okropnych warunkach.

Zdaniem naszem, pożądane byłoby wprowadzenie pewnej liczby kobiet, któreby miały bezpośrednią styczność z chorymi. Mężczyznom natomiast należałoby poruczyć grubsze roboty, wymagające siły fizycznej. Kobiety, z natury swojej wrażliwsze, czystsze i delikatniejsze, byłyby żywiołem bardzo dodatnim w szpitalnem życiu wewnętrznem. Oczywiście muszą to być osoby przygotowane odpowiednio i wypróbowane dostatecznie. Ktoś proponował przysposobienie takich pracownic za pomocą uprzystępnionych szkół felczerskich. Ale, niestety, przynajmniej w chwili obecnej, jest to życzenie niewykonalne, gdyż szkoła felczerska

---

1)

Wacław Sieroszewski.

WRAŻENIA Z BIAŁOWIEŻY.

Poświęcane autorce „Chama.“

Pociąg, do którego wsiedliśmy w Bielsku, składał się z długiego szeregu pustych platform, żwirówek, odrapanych brankardów i dwóch tylko pasażerskich wagonów. Trzecia klasa pełna była wrzasku, ruchu, Żydów, chłopów, kłębów gryzącego dymu tytuniowego; w drugiej: w jednym przedziale jakaś pani, roniąc z niechcenia francuskie wyrazy, rozmawiała pół głosem z dwoma szlachcicami — poznałem ich po sumiastych wąsach; w sąsiednim — samotny pan w czapce z zielonym lampasem patrzał wytrwale w okno. Wieźli nas tym pociągiem na wschód bez pośpiechu ale z wielkim zgrzytem i sapaniem. Droga wiła się wśród ślicznej, zlekka sfalowanej okolicy. Szachownica zasianych pól i siwe smugi świeżo zaoranej roli spływała wspaniale z widnokręgu po stokach wzgórz, niby bogata królewska opona. W jej fałdach tu i owdzie błyszczały nitki rzeczułek, połyskiwały strugi i stawy, to porosłe szczeciniastym szuwarem, to czyste, lustrzane z czochratemi wierzbami u brzegów. Czasem zaczerniał w wądole drobny gaj olchowy, niby znamię rodzime na pięknej, jasnej okolicy. Biały dwór mignął w ciemnych ogrodach na szczycie pagórka. Sadzona strzelistemi topolami droga biegła ku niemu a opodal mała wioszczyna rozsypała się, jak szary różaniec. Nigdzie śladu lasów. Bezmiar błękitnego powietrza, pełen śpiewających skowronków, spoczywał bezpośrednio na łanach zbóż, a skąpany w rosie miał w ten łagodny, słoneczny poranek taką przejrzystość, że widać było wyraźnie odległe, coraz to inne krzewy, grusze, krzyże i wiatraki z rozpostartemi ramionami, płynące ku nam na powodzi światła. Górą luźno rozpierzchłe obłoki, jak wianek białych kwiatów, wieńczyły młody dzień.

— Gdzież lasy?!

Wyglądaliśmy ich niecierpliwie. Nareszcie jedna z pań, którym towarzyszyłem, zawołała radośnie.

— Już są. Patrz pan!

Ciemna, długa, wązka chmura zamajaczyła na horyzoncie. Jednocześnie gwizdnęła chrapliwie lokomotywa i pociąg zwolnił. Lecz nie lasy witaliśmy w ten sposób, lecz straszyli dzieci, które u zamkniętego szlabanem przejazdu zrobiły sobie zabawkę z przemykania przez szyny tuż przed pociągiem. Konduktorzy łajali je, maszynista groził pięścią, lecz dopiero gdy pociąg prawie przystanął, one pierzchły z wesołą wrzawą i rozsypały się jak stado gołębi po łące, płosząc tam długonogich bocianów.

Pan w czapce z zielonym lampasem kiwał nagannie głową, aż ruszyliśmy dalej, sapiąc i wyrzucając na pozłotę słońca kłęby brunatnego dymu.

Droga wężowo wiła się wśród uprawnych pagórków. Miejscami tor był tak wązki, że ciężkie, płowe warkocze bujnego żyta z gwiazdkami modrych chabrów i malinowych kąkoli nieledwie zaglądały do okien wagonów. Ciepły, przyjemny aromat kwitnącego zboża zalatał aż do nas. Pociąg na skrętach niezgrabnie stukotał, niby koń zmieniający w galopie nogę. Hukały miarowo bufory, brzęczały łańcuchy, drżały i jęczały szyny, ale wszystko szło ospale, bez żywszego tętna, jak codzień się powtarzające, niepotrzebne, ciężkie roboty.

Od czasu do czasu rozlegało się gderliwe gwizdnięcie lokomotywy, spędzającej z plantu to babę z dwojakami, to zbłąkaną krowę. Baba uśmiechnęła się na zuchwały żart konduktora, a krowa długo biegła torem, nie rozumiejąc, czego chcą od niej i oglądała się głupowato na pociąg.

Sina chmura lasu rozpływała się, tymczasem coraz szerzej po ziemi. Zwolna pierwsze jej smugi z błękitnawych stały się szaro-zielone, rozbiły na oddzielne gaje i zalesia. Spodem wyłoniły się szeregi pni drobnych od odległości, równych, niby pułki żołnierzy stojących pod bronią. Nad nimi chwiały się wdzięcznie kosmate chorągwie uliścionych gałęzi.

Jeszcze jeden zakręt i znaleźliśmy się

w Warszawie, od której najbardziej można byłoby oczekiwać takiego uprzystępnienia, ogłosiła niedawno, że drzwi dla kobiet ma zamknięte.

Dopóki więc posługa w szpitalach nie będzie starannie przygotowana i dobrana w ten sposób, ażeby stała na znacznie wyższym, niż dzisiaj poziomie moralnym, dopóki nie otrzyma lepszych warunków pracy i bytu, dopóki wreszcie cały system szpitalny, cała gospodarka nie zmieni się zasadniczo według wymagań, jakie postawił przed kilku miesiącami dr. Nosocomialis w swojej broszurze — póty nie można żądać, ażeby masy ludności przezwyciężyły swój wstręt do szpitalów, pokonały swoje obawy i „przesądy.“

LISTY PETERSBURSKIE.

Mania prześladowcza niektórych korespondentów.— Odrodzenie się Litwinów pruskich i oświetlenie tego faktu w prasie rosyjskiej. — Reforma sądu handlowego w Warszawie. — *Swoi* ludzie.

Ostatnimi czasy prasa rosyjska bardzo dużo uwagi i miejsca poświęciła sprawom, stosunkom i zjawiskom panującym na „kresach.“ W notatkach tych, artykułach i rozprawach znajdujemy niejednokrotnie sporo nieścisłości, sądu pobieżnego i widzimy dążność do uogólnienia zjawisk pojedynczych, oderwanych, do wyprowadzania wniosków pospiesznych i bardzo naciąganych. W sumie jednak te wszystkie szczegóły i wnioski ujawniają pewien nastrój, zasługujący na zaznaczenie. Wreszcie i fakty same przez się nieraz są bardzo ciekawe. Jeden z publicystów rosyjskich, p. Engelhardt, już dawniej zaznaczył, że wytykanie wszelkiego rodzaju postępów na kresach może tylko doprowadzić do niepotrzebnej i bezzasadnej nienawiści i zawiści. Wygląda to tak, jakby ów postęp, rozwój kultury, cywilizacyi i dobrobytu był czemś zbrodniczem, co należy ukrywać, ażeby ludność, korzystająca z tych dobrodziejstw fali rozwojowej, nie była za to pociągnięta do odpowiedzialności. Może być, że w doradzaniu milczenia przez p. Engelhardta przebija się jego wyborna znajomość tendencyi korespondentów, dręczonych nieustannie manią prześladowczą.

Jednym z typowych objawów przypadłości, aczkolwiek nie na gruncie kresów, są następujące doniesienia pewnego korespondenta: „Wypadło mi być w pow. Duchowszyńskim gub. Smoleńskiej i widzieć tam mnóstwo zrujnowanych gniazd szlacheckich i tylko trzy dobrze urządzone majątki. Należały one do Polaków. Ponieważ w gub. Smoleńskiej rolnicy polscy i rosyjscy postawieni są w jednakowych warunkach, a więc z tego faktu należy wyciągnąć wniosek na korzyść Polaków. W Smoleńsku spytałem jednego z najpoważniejszych działaczów miejskich, dlaczego smoleńszczanie wpuścili do siebie ostatnimi czasy tak dużo Polaków? Odpowiedział mi, że ci przynoszą z sobą cywilizacyę. Przyjąłem te słowa z nieufnością; ale będąc w pow. Duchowszyńskim, przyszedłem do przekonania, że obywatel smoleński poniekąd ma słuszność. Atoli napływ Polaków do gub. Smoleńskiej, chociaż przynosi z sobą pewną kulturę, posiada jednocześnie wiele stron ujemnych. Zaczyna się od tego, że we wsi, w której są Polacy ziemianie, cerkiew bywa zrujnowana, z panem zaś polskim idzie zawsze żyd-faktor i ksiądz, buduje się kościół, powstaje katolickie Towarzystwo dobroczynności. Roku zeszłego w Smoleńsku poświęcono ogromny nowy kościół, a w r. b. otwarto tam katolickie Tow. dobroczynności, które, jak wszystkie podobne instytucye (jest ich teraz bardzo wiele w Rosyi), będzie łączyło Polaków miejscowych i przeszkadzało do zbliżenia ich z Rosyanami. Ze słów korespondenta można byłoby wnosić, że w gub. Smoleńskiej przynajmniej co milą jest kościół i katolickie Towarzystwo dobroczynności. Tymczasem, jak sam on w końcu zaznacza, istnieje w Smoleńsku jeden kościół nowy i jedno Towarzystwo. Co do ogółu takich instytucyj w całem państwie, to określenie „bardzo wiele,“ przetłomaczone na język prawdy i sumienności, powinno brzmieć: „kilka.“ Z innych szczegółów, oskarżających Polaków w gub. Smoleńskiej, jest dla nas zagadką, jakim sposobem oni wespół z księdzem i żydem-faktorem wpłynęli na to, że cerkwie są zrujnowane?

Oprócz spraw Królestwa Polskiego, oprócz śledzenia ruchów i życia Polaków w różnych dzielnicach i miejscowościach państwa, prasa rosyjska żywo zajmuje się obecnie kwestyą litewską, tj. nietylko Litwinami w obrębie państwa rosyjskiego, lecz i w Prusiech Wschodnich. *Peterb. Wied.* podały ciekawe w tej mierze fakty, a inne pisma charakterystycznie je oświetliły. Zarówno te fakty, jak ich oświetlenie, zasługują na uwagę. Pismo powyżej wzmiankowane zaznacza, że ostatnia gorąca kampania wyborcza do parlamentu niemieckiego wysunęła nowy żywioł: oto wszedł, jako deputowany, przedstawiciel ludowego stronnictwa litewskiego w Prusiech Wschodnich. Wobec tego, że nawet zjednoczone siły germanizatorów nie zdołały stłumić ruchu narodowego Litwinów pruskich, organ ks. Uchtomskiego w pobieżnym zarysie daje obraz rozwoju tej samowiedzy:

Od r. 1848 do 1890 poczucie narodowe tak słabo kołatało śród Litwinów, że nie stawiali oni nawet kandydatów do parlamentu. Głosy swe oddawali bądź liberalnym, bądź konserwatystom niemieckim, tj. tym, którzy czczemi obietnicami potrafili pozyskać dla siebie chwiejne natury polityczne. W r. 1890 Litwini postanowili utworzyć kółko narodowe. Na zasadzie jednego z artykułów konstytucyi niemieckiej powstał związek litewski konserwatywny, którego zadaniem miały być wybory do parlamentu. W tym samym roku Litwini postawili dwu swoich kandydatów: w okręgu Kłajpedy i Szyłokarczmy p. Jankusa ze wsi Bitenai, a w okręgu Tylży i Pakalni dr. Branżisa z Tylży. Z góry było wiadomo, że kandydaci nie przejdą na wyborach, gdyż młody związek litewski nie miał funduszów i nie mógł rozwinąć agitacyi odpowiedniej; nadto, stronnictwa niemieckie potrafiły

---

przed stacyą Hajnówka. Brzydka, pospolita wgryzła się piernikową rdzą swych budowli i blado-żółtymi placami pylnych trzebieży w śliczny sosnowy bór.

Wozili nas tu z linii na linię dobre pół godziny, odczepiając jedne przyczepiając drugie wagony. Dama i szlachcice wysiedli, natomiast do wagonu z panem w zielonej czapce wszedł drugi pan w błyszczącym mundurze i przy szpadzie.

Pociąg oswobodzony od połowy co najmniej ciężarów pomknął z wesołym łoskotem. Z obu stron kolejowego porębu, w ciągu całej drogi, płynęły obszary puszczy, w pół ciała kędzierzawe, drżące jaskrawo-zielone od wilgoci i słonecznego blasku, dołem — sztywno-skamieniałe, zatopione w przejrzystym zmierzchu morskiej głębiny.

— Czy febry tu grasują?—dopytywał się pan w czapce pana ze szpadą.

— Grasują ale... stosunkowo... niebardzo!

— Czy klimat jest o wiele surowszy?

— Dokładnie nieustanowione. Śniegi ze dwa tygodnie dłużej leżą. Padają często deszcze...

— Jaki gatunek drzew przeważa?

— Sosna, tak... sosna! Choć są miejsca gdzie świerk, a są i także, gdzie... dąb. Są inne gdzie — mieszanina: olcha, brzoza, lipa, osina, jesion... Nie ma jeszcze ustanowionego porządku... Przedtem las rósł, jak chciał, a myśmy nastali niedawno... Żadnego planu!

— A cisy macie?

— Cisy?... Cisy?! Ach: cisy! Pamiętam... taxus baccata — dodał po łacinie — Są, są... w Cisance na kępie wśród Nikorskich błót. W lesie trudno się dostać, ale jeżeli wasza ekselencya...

— Co robicie z opadami, z posuszem, z chrustem?

— Z opadami, wasza ekselencyo... właściwie powiedziawszy... Chrust sprzedajemy — fura trzydzieści kopiejok. Ile można, uprząta się, ale właściwie powiedziawszy... z takiemi siłami jak nasze...

— Ja trzymam się innego poglądu. Przyroda jest najlepszym gospodarzem. Niech leży, gdzie upadło. To użyźnia glebę. Las najlepiej wie, co mu potrzeba. Nigdy stucznie nie wychować takich lasów...

— Właśnie, właśnie... zgadzał się pośpiesznie urzędnik.

Długi monolog zakończył się pytaniem, wiele w zwierzyńcu żubrów.

— Trzydzieści sztuk. W lesie bardzo rozmnożyły się wolne. Mamy prócz tego dużo łosi, sarn, jeleni, dużo dzików...

Rozpoczęła się myśliwska rozmowa, wyliczanie ostępów, kniei, miejsc najlepszych polowań, przeplatana skargami na kłusownictwo, na wsie nieposłuszne, zacięte w ukrywaniu winnych kradzieży lasu oraz tajnego polowania...

— Niewymownie podły lud, dzika ciemnota!..

— Więc szkół nie macie?

— Owszem, są...

Urzędnik urwał i niespokojnie spojrzał w okno.

— Zwrócę uwagę waszej ekselencyi na to tu leśnictwo. Jest to najbogatsze w poziomki miejsce. Zapach mają przedziwny i dorastają wielkości truskawek... Niedowierzenia...

Nie dojeżdżając stacyi „Białowieża,“ wysiedliśmy na pałacowej platformie. Gromada Białorusów w parcianej odzieży i lipowych postołach otoczyła nas natychmiast.

— Może koni treba?

— Może chatu?

— Hde wieszczi śniaśti?

— Wańka... Tomka... Taszczil... Chuczaj!

Biernie poddaliśmy się ich pieczy. Po przebyciu paru stajen drogi piaszczystej, porosłej trawą, znaleźliśmy się w niedużej, wapnem wybielonej izbie, gdzie stał pod oknem koszlawy stół, pod ścianami mieściły się wąskie ławy, a pośrodku wisiała u belki nakryta pasiatym fartuchem kołyska. Gromada dzieci w kolorowych koszulach ciekawie przyglądała się nam z głębi otwartej sionki.

— A jeżeli wy chcecie takiego, co by się umiał ładnie z panienkami rozmówić, to w tej wsi nie znajdziecie nikogo... prócz mnie — dowodził rezolutnie jeden z przybyłych z nami chłopów.

— Bo ta wieś nazywa się Krzyże i po katolicku tu nie rozumieją. Ja to umiem, bo służyłem w wojsku a potem długo mieszkałem w Budach. Moja żona budniczka

obietnicami swemi uwikłać łatwowiernych włościan litewskich, którzy nie zdołali jeszcze się przebudzić z uśpienia. Jankus otrzymał tylko 141 głosów, a dr. Branżis zaledwie 37. Po tej pierwszej porażce Litwini upadli na duchu chwilowo, lecz następnie z całym zapałem postanowili bronić spraw swoich. W r. 1893 w okręgach Kłajpedy i Tylży wystąpili ze swymi kandydatami.

Społeczeństwo litewskie, wzmocnione już trochę w ciągu trzech lat, zajęło się gorliwie agitacyą wyborczą. P. Smalakis, kandydat ludowego stronnictwa litewskiego w Kłajpedzie, otrzymał 2,021 głosów, a p. Saunus, w okręgu tylżyckim — 850. Ale i tym razem jeszcze Litwini ponieśli porażkę, która jednakże nie zabiła w nich ducha; przeciwnie, wytworzyła większy zapał do walki. I oto w roku bieżącym postawili kandydatów już w czterech okręgach: Tylży i Pakalni, Kłajpedy i Szyłokarczmy, Ragajny i Pilkalni, Labhawy i Wielawy. Wynik zaś głosowania był następujący: Smolakis otrzymał w okręgu Kłajpedy 7,818 głosów i został posłem litewskim do parlamentu. Dr. Sauerwein, znany litwinofil niemiecki, otrzymał w okręgu tylżyckim 3,392 gł., Saunus w Ragajnie 695, Jużka w Labhawskim 320. Ogólna tedy liczba głosów na kandydatów litewskich wzrosła do 12,225, czyli 70 razy więcej, niż przy pierwszej próbie.

„Cyfry te — piszą *Pet. Wied.* — są wymownym dowodem, jak szybko odradza się w Prusiech naród litewski. Samowiedza jego uczyniłaby jeszcze większe postępy, gdyby nie brak inteligencyi. Wielu bowiem Litwinów pruskich, po ukończeniu wykształcenia wyższego i otrzymaniu posad korzystnych, zapomina o potrzebach swego narodu i tonie w falach germanizmu. Nieliczna zaś garstka inteligencyi z dr. Branżisem na czele, doznaje ciągłych szykan i prześladowań ze strony policyi pruskiej tudzież junkrów, skorych do wszystkiego. Przeszkody te wszakże hartują tylko Litwinów w walce z wstecznikami niemieckimi."

Wniosek powyższy można uzupełnić następującemi uwagami *Birż. Wied.*: „Jeden z młodych uczonych udzielił nam ciekawych spostrzeżeń: Oto granica etnograficzna polsko-litewska jest dziś zupełnie taką samą, jaką była granica historyczna pomiędzy Rzecząpospolitą a W. Ks. Litewskiem przed Unią, zawartą pomiędzy obu państwami przeszłości. Ani narodowość polska, ani litewska nie wyparły się wzajemnie ze swoich kresów, pomimo Unii i następnie pomimo wcielenia przez kongres wiedeński części Litwy do Królestwa Polskiego. Spolonizowały się tylko: szlachta, patrycyat miejski i część duchowieństwa."

Przez szpalty pism i różne instytucye przesuwa się obecnie mnóstwo projektów i wniosków, dotyczących zreformowania niektórych urządzeń społecznych i ekonomicznych. Między innemi na porządku dziennym jest sprawa przekształcenia sądu handlowego w Warszawie. Z tego powodu członek owej instytucyi, mianowany z ramienia rządu, p. Bieliński, wydał „Zbiór artykułów," dotyczących reformy. Autor zaznacza, że podczas przekształcenia zasad sądownictwa w Królestwie Polskiem 1871 r., istniejący w Warszawie trybunał handlowy otrzymał nazwę warszawskiego Sądu handlowego, lecz w gruncie pozostał bez zmiany, bez przystosowania do przekształconych innych instytucyj sądowych w Królestwie Polskiem. Czytamy w dalszych wywodach, że kodeks handlowy, stosowany przez sąd powyższy, jest przestarzały, nieodpowiadający wymaganiom współczesnym, szczególnie zaś interesom handlu rosyjskiego. „Położenie członków, mianowanych przez rząd, jest tam bardzo nieokreślone. Wpływ stanowczy mają sędziowie z pośród kupców miejscowych, którzy wbrew ustawom nie uznają praw języka państwowego, prowadzą rozprawy sądowe w języku polskim i stosują miejscowy, zupełnie przestarzały kodeks handlowy do firm gubernij wewnętrznych. Przynosi to wielki uszczerbek kupcom i fabrykantom rosyjskim i tamuje prawidłowy rozwój stosunków handlowych między guberniami wewnętrznemi a kresami."

Autor wreszcie zaznacza, że w warszawskim sądzie handlowym szczególnie źle jest postawiona procedura upadłościowa. Skutkiem tego podobno kupcy uznani za niewypłacalnych mają wszelką możność ukrycia swego majątku. Sąd handlowy mianuje kuratorów i syndyków upadłości. Działalność tych drugich pozostaje po za granicami wszelkiej kontroli ze strony władzy sądowej.

Innej reformy żąda fejletonista *Birżewych Wied.*, który bardzo uważnie wpatruje się w życie prowincyonalne całego państwa. Nieraz już on surowo krytykował, a nawet piętnował gospodarkę różnych kolei żelaznych, działających ze szkodą publiczności i rzesz pracowników. Niedawno opowiedział smutną dolę pewnego urzędnika, którego przerzucano z miejsca na miejsce, dręczono egzaminami z różnych gałęzi techniki kolejowej, nie bacząc, że posiadał on już doświadczenie, że był pomocnikiem naczelnika na kolei Syberyjskiej. W końcu zupełnie pozbawiono go służby. Otóż na to charakterystyczne zjawisko prześladowania jednych a faworyzowania innych fejletonista zwraca uwagę w najświeższych swoich rozmyślaniach. Najpierw zaznacza, że istnieje pewna kategorya ludzi *swoich*, którzy robią zdumiewającą karyerę. „Jakie miejsce może otrzymać człowiek, który skończył kurs technicznej szkoły kolejowej i nigdzie jeszcze nie służył? W warunkach normalnych, po wielu latach zostanie on pomocnikiem naczelnika rewiru. Jeżeli zaś to będzie *swój* człowiek, o! wtedy otrzyma posadę naczelnika i pensyę 4,000 rubli, nie bacząc na to, że według przepisów ministeryum komunikacyi, naczelnikami rewirów mogą być tylko ludzie z wyższem wykształceniem technicznem." Na dowód że w praktyce dzieje się wbrew owym przepisom, autor podaje drukowane rozporządzenie kolei Nadwiślańskiej za nr. 115 z d. 14 sierpnia 1898 r., gdzie na str. 4-ej oznajmiono: „Mieszczanin Iwan Batyj-Filipowicz, który skończył szkołę techniczną w Homlu, otrzymuje posadę kancelaryjną trzeciego rzędu i pełnić ma obowiązki naczelnika piątego rewiru kolei."

„Szczęśliwy mieszczanin! — woła fejletonista — życzę mu jeszcze większego powodzenia. Ale możeby należało pomyśleć i o tych, którzy jeżdżą kolejami Nadwiślańskiemi. A nuż szczęście wywoła nieszczęście!"

Paweł Krzyżanowski.

---

będzie. To, jeżeli chcecie, mogę wam konie dać do Budów... za dwa ruble. A do jakich chcecie Budów?

— A wiele ich jest?

— Budów jest trzy. Są Budy Małe — tu blizko pod lasem, ze trzy wiorsty nie więcej. Są Budy Średnie — Teremskie i są Budy Dalekie — Pogorełki... Stąd wiorst jedenaście.

— Więc za jedenaście wiorst chcecie dwa ruble?

— Dlaczego nie mamy chcieć?! Dwa konie, rzeczy macie dużo i dwie panny...

— Właśnie: będzie wam lżej.

— Ale! Z panienkami trzeba składno jeździć. Ja to wiem!

— Nie możemy ustąpić. Położono u nas rubla z konia! — podtrzymali go obecni chłopi.

W godzinę po dobiciu targu dostarczono nam małą wysłaną słomą bryczkę i dwa niezłe mierzyny.

— Tylko wieź dobrze!

— O jej! Tak powiozę, że sobie jeszcze na wódkę zarobię.

Ruszyliśmy dość żwawo szeroką, „królewską drogą," która prowadzi z Białowieży do miasteczka Narwi. Ogromne sosny, potężne dęby, ciemne, brodatymi porostami obwieszone świerki, przysadziste lipy, graby, jesiony... tworzyły z obu stron cudne cieniste szpalery, pozłocone we wrębach smugami gorącego światła. W głębi, u stóp strzelistych pni leżały olbrzymie cielska starodrzewia powalonego przez wicher, czy wiek. Delikatna pleśń mchów powlokała większość jak aksamitna opończa. Ich wykroty tworzyły ogromne czarne tarcze z korzoniami wijącymi się u brzegów jak włosy Gorgony. Rycerz z koniem mógłby się z łatwością schować za każdym. Ciszę mącił tylko niewyraźny szmer lasu, kukanie kukułki i łagodny tupot naszych koni, raźno biegnących po miękkiej, ujeżdżonej drodze. Na błękitnym szlaku nieba, co wił się nad drogą, z po za rąbka splątanych konarów, wypływały, szaro posrebrzane chmury i nikły uchodząc szybko dalej nad las.

— A czy można czego dostać w tych twoich Budach?

— Aj, pani! Wszystkiego dostać można. O jej i jak jeszcze!...

— Naprzykład czego?

Woźnica zamyślił się i w zakłopotaniu wywinął batem.

— Czy jaj naprzykład, dostanie?

— Naprzykład jaj... uciszył się.

— A kury są?

Spojrzał na nas z ukosa.

— I jak jeszcze! Jest wiele powiedziałom.

— A chleba, bułek, masła dostanie?

— Wszystkiego dostanie. Żyda mają!

— A izbę czystą, oddzielną znajdziemy?

— Czystą... A to jak? Znajdziemy...

— Czystą, bez robactwa. Bo karaluchy pewnie są u was!

— Są, panie. I jak jeszcze. Za pieniądze wszystkiego dostanie.

Wśród pań wszczęła się trwoga, ale woźnica rozglądał się dobrodusznie po chmurach.

— Deszcz będzie, panie.

— Pewnie nie rozumiesz co, to karaluch. To — tarakan.

— Taak! To tarakan? A pan się pyta, czy są? Niema panie; my ich trujemy.

Jeszcze zadałem kilka pytań, lecz otrzymawszy niezmiennie:

— O jej!... I jak jeszcze!... Ale! — dałem spokój.

— Czy żonaci jesteście gospodarzu? spróbowały moje towarzyszki z bardziej poetycznej beczki. Obrócił się do nich w pół ciała i spojrzał filuternie.

— Żonaty... dwa roki.. A co?

— A dzieci masz?

— Ni! Jeszcze czas.

Roześmiał się.

— A żonę bijesz?

— Biję, kiedy winowata. O jej!

— A kiedyś ty winien, to co?

— To jest kto? Ja, mówicie?! Ja nikogdy nie bywam winowaty!

Był ogromnie zadowolony z wesołości, jaką wywołała jego odpowiedź i zaraz z tego skorzystał.

— A jeśli ja tutaj zwrócę na inną drogę? Gorsza ale krócej...

— Zwracaj.

(C. d. n.)

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dziecinne wymagania.

Prawdopodobnie pod wpływem budzącej się od czasu do czasu świadomości, że język jest rdzeniem narodu, otaczamy znowu pewnem staraniem naszą mowę, której losy wahały się u nas ciągle między godnością bogini na ołtarzu a poniewierką kopciuszka w kuchni. Kochanowscy, Rejowie, Trembeccy, Mickiewicze, Słowaccy wznosili jej świątynie, a zakochani w łacinie lub francuzczyznie panowie szlachta i dogadzający im pisarkowie odsyłali ją ciągle do izby czeladnej. Dziś już trudno tak lekceważyć język jednej z bogatszych literatur świata, mający zupełne prawo do patrzenia ze wzgardą na okazywane mu przez kogokolwiek upośledzenie; wszakże polskie pawie i papugi nie straciły dawnych swoich nałogów. Może po części i dlatego, że swoje historyczne obywatelstwo podnosi on i uzacnia nowymi zaszczytami, zaczęliśmy w ostatnich czasach okazywać mu miłość i szacunek, a nawet dopominać się dla niego o pewne przywileje.

Odczuli to naprzód autorowie i właściciele... szyldów żydowskich. Dla wyszydzania ich ukuliśmy nawet osobny, śliczny wyraz polski: „znakologia.“ Długim szeregiem przesunęli się przed nami w pismach codziennych: felczerzy, posiadacze garkuchni i sklepów, malarze pokojowi, i wogóle cała biedota, która języka polskiego dobrze nie zna, a chciałaby dać mu miejsce na swych szyldach. Wychłostanoych za to należycie, a nawet dotąd wyprowadzani na widownię ze swą ułomną pisownią dostarczają wielkiej uciechy tłumowi czytelników prasy brukowej. Również lud miejski i wiejski, mający w swej mowie mnóstwo naleciałości obcych, cudacznie przerobionych, zasila naszą humorystykę obficie. Poważnym celem ustawicznych z niego drwin jest zapewne staranie, ażeby nie używał wyrazów cudzoziemskich, których nie rozumie i którymi niepotrzebnie kala swój język. To też Wojtki i Marysie, Ignacowie i Petronele — chociaż o tem nie wiedzą — poddawani są przez nas ciągłej dezynfekcyi językowej w dziennikach, powieściach i komedyach.

Wszystkie te jednak zabiegi są pracą skromną w porównaniu z wielkiem przedsięwzięciem, jakie część naszej prasy podjęła w kierunku wywalczenia słusznych praw polszczyznie. Chodzi ni mniej ni więcej tylko o to, ażeby nasi kupcy i przemysłowcy w korespondencyi handlowej z zagranicą, a zwłaszcza z Niemcami, używali wyłącznie języka polskiego i w nim przyjmowali od nich odpowiedzi. Z tego obowiązku bezwarunkowo nikogo nie chcemy zwolnić. Kiedy jedna z firm niemieckich oświadczyła, że mu nie może się poddać, gdyż nikt w jej kantorze nie rozumie po polsku, któryś z *Kuryerów* zawołał: to niech sobie wyszuka odpowiedniego korespondenta. I koniec! Wynik kilkoletnich napomnień prasy w tym względzie był istotnie wspaniały: paru kupców warszawskich, unikających naturalnie reklamy, zaprzysięgło publicznie, że w stosunkach z Niemcami używać będą języka polskiego, a zarówno ci nieugięci, jak i inni pozostali przy dawnych zwyczajach. Czy ten skutek można było przewidzieć?

Nie potrzebuję czytelników moich zapewniać, że gdybym się znalazł w Melburnie lub Hawanie i z każdym przechodniem na ulicy mógł się rozmówić po polsku, doznałbym prawdziwej rozkoszy. Nieraz zazdrościłem Anglikom, widząc ich we Włoszech lub Szwajcaryi, jak w hotelach lub sklepach używali swojego języka i wszędzie byli rozumiani. Jest to nietylko wielka wygoda, ale i zadowolenie, płynące z poczucia potęgi i znaczenie swojego narodu, któremu w ten sposób cały świat objawia uznanie. Poszczycić się niem mogą wszakże zaledwie dwa: Anglicy i Francuzi. Język innych sięga po za swe właściwe granice bliżej lub dalej, lecz nie obejmuje całego globu. Tak np. niemiecki już niknie na południowschodzie Europy, gdzie znowu rozpowszechniony jest włoski. Rozpostarcie się jakieś mowy nie następuje szybko i nie zależy od każdorazowego układu sił politycznych, lecz odbywa się powoli, a gdy je raz utrwali tradycya, opiera się ono późniejszym zmianom stosunków. Państwo łacińskie już dawno istnieć przestało, a łacina utrzymywała się jeszcze długo w dyplomacyi i dotąd w kościele katolickim. Pomimo nadzwyczajnego wzrostu Niemiec i energicznych starań ich rządu, język niemiecki nie zdołał nawet częściowo wejść do dyplomacyi, gdzie dotychczas panuje nieograniczenie francuski.

Rozważywszy to wszystko, zastanówmy się nad tem: jeżeli potężne Niemcy, pomimo swego stanowiska, uroku i mocy, nie zdołały zmusić najdrobniejszego państewka, ażeby ono przyjmowało od nich noty i odpowiadało na nie po niemiecku, jak my wyglądamy z naszą pretensyą wobec kupców zagranicznych? Poprostu śmiesznie. Szowinizm, ten niezdrowy od łech patryotyzmu gardła, nie rozumu i serca, ten tani i lichy surogat głębokiej miłości i szlachetnej duszy, ten popis pustych frazesów budzących oklaski tłumu, ten uliczny pokrzyk łechczący uszy gawiedzi — nie powinien być nigdy dopuszczony do stawiania celów i wskazywania dróg narodowi. Bismarck powiedział raz słusznie: pierwszą regułą polityki jest nie żądać tego, czego bezwarunkowo otrzymać nie można. Zasada ta da się zastosować również do wymagania, ażeby zagranica korespondowała z nami po polsku. Bo czyż ona to zrobi? Dziecinne złudzenie! Językiem handlowym Europy środkowej jest niemiecki i ona go nie zmieni dla kilku — przypuśćmy nawet dla setki polskich kupców, chociażby dzienniki warszawskie rzuciły na nią milion klątew. I czy nam tak dalece o to chodzić powinno? Co do mnie wyznaję szczerze, że nic a nic mi na tem nie zależy, czy Niemcy przyślą nam tysiąc wyżymaczek i rowerów lub my im wyślemy tysiąc pudów cukru i chmielu przy korespondencyi w języku polskim, czy niemieckim.

Ale natomiast co nie jest obojętnem dla mnie i prawdopodobnie dla moich czytelników, to nasze zachowanie się względem języka polskiego u siebie w domu. Sądząc z tych wysokich roszczeń, jakie odzywają się w niektórych dziennikach warszawskich co do formy stosunków handlowych z zagranicą, należałoby wnosić, że w stosunkach wewnętrznych doprowadziliśmy dbałość o mowę ojczystą do najwyższej skrupulatności. Tymczasem my ciągle i dobrowolnie budujemy sobie Babel. W pismach peryodycznych rozpierają się: konflikty, stypulacye, mezaliansy, tenory (treść), eksterminacye, secesye, secesye, obstrukcye itd., w salonach brzmi francuzczyzna, w fabrykach niemczyzna, w wagonach kolejowych — wielojęzyczność. Ileż to razy zdarza się nam być świadkami osobliwego widoku, gdy Polak, zagadnięty przez cudzoziemca po polsku, odpowiada mu usłużnie w jego mowie, często straszliwie pokaleczonej! Ta nasza gotowość i skwapliwość do popisywania się obcym językiem jest czasem tak dziwna, że aż wstrętna. Kiedyś siedziałem w wagonie z kilkoma warszawiakami, którzy grali w karty. Ciągle z ich ust wybiegały słowa: *Schwam drüber*, *Pech*, *Lass sich begraben*, *Alte Geschichte*, *mein Ehrenwort*, *Dummes Zeug*, *Werfe deine Flinte in's Korn* itd. Na szczęście o tych naszych słabostkach zagranica nie wie. Ciekawa rzecz, jaką zrobilibyśmy minę, gdyby nam kupiec niemiecki na nasze żądanie korespondowania po polsku odpowiedział: „Najchętniej to uczynię, szanowni panowie, ale wtedy, kiedy wy zaczniecie używać tego języka stale między sobą i w stosunkach z cudzoziemcami, którzy go rozumieją. Dopóki wszakże przysłowie polskie: „nie odrazu Kraków zbudowano,“ wyrażacie przez: *Paris n'a pas été fait dans un jour*, dopóki wasze teatry nazywają się *Belle-vue* lub *Odeon*, wasze sklepy *Au bonheur des dames* lub *Au printemps*, wasze zebrania towarzyskie — *fif'o'clocki*, dopóki wasze stowarzyszenia mają godła: *All hail*, dopóki wasze konie wyścigowe są *yearlingami* i biegają *pacem* lub *cant em*, dopóki wszystkie narzędzia waszych warsztatów rzemieślniczych i fabrycznych noszą nazwy niemieckie, dopóki ubieracie się w *sortie de bale* i *smokingi*, dopóki każdy prawie wasz rodak prywatnie i publicznie bez potrzeby i przymusu używa obcych języków — dopóty my cudzoziemcy nie mamy ani powodu, ani obowiązku uczenia się po polsku. Mowa lekceważona przez was, nie może być cenioną przez nas.“

Dowodzenie to byłoby zupełnie słusznem, więc nie wywołujmy wilka z lasu. Zamiast narzucać nasz język cudzoziemcom, uszanujmy go wprzódy sami. Nie zamieniajmy go na pstrokatą szatę arlekina i nie pokrywajmy jaskrawemi łatami wszelakiego pochodzenia, nie czyńmy zeń *volapuku*, nie wyrzekajmy go się ustawicznie dla marnego popisu, dla śmiesznej chluby, dla fałszywego wstydu lub nikczemnej obawy — to wystarczy dla jego godności i rozwoju, to wreszcie zapewni mu poważanie u obcych. Buńczuczne wymagania, których nikt spełnić nie chce i nie może, czcze pogróżki zerwania stosunków, których przecięcie nie leży w naszej mocy, wogóle kiwanie palcami w butach tylko nas ośmiesza. Niech miłość dla mowy ojczystej będzie krwią naszego serca, a nie śliną naszych deklamujących ust — o to się starajmy, a nie o to, ażeby Müller lub Schultz oświadczyli nam po polsku, że kupią naszą szczecinę.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

OBECNY STAN BADAŃ nad historyą chłopów w dawnej Polsce.

Bobrzyński w rozprawie p. t. „Geneza społeczeństwa polskiego“ dowodzi, że w Polsce zawsze wiele stosunkowo zajmowano się chłopami. Zapatrywanie to wyraził on także w wykładach na uniwersytecie lwowskim, przyczem dał do zrozumienia, że byłoby może lepiej, gdyby ustawodawstwo dawne polskie mniej zważało na ludność wiejską, a natomiast na rozwój miast. Jest to, jak zwykle u historyków t. zw. szkoły krakowskiej, propozycya, mająca znaczenie wprawdzie dla bieżących spraw społeczno-politycznych, ale nie dla historyi chłopa w b. Rzeczypospolitej polskiej. Właściwiej ocenił ten fakt — pierwszy

gubernator austryacki w Galicyi, który w memoryale do dworu wiedeńskiego o stanie, jaki zastał w nowo nabytym kraju, podniósł także okoliczność, że ludność wieśniacza doznaje niejakiej opieki od stanów „wyższych," a to dlatego, że szlachta jest bądź co bądź więcej ekonomicznie związaną z chłopem, aniżeli z miastami i miasteczkami. Jest to jednak taki sam łącznik gospodarczy, jaki istnieje dzisiaj między wolnym najmitą na wsi i w mieście a jego „pryncypałem"-przedsiębiorcą z tą różnicą, że chłop za czasów Rzeczypospolitej polskiej był — rozumie się — „poddanym" szlachcica, czyli chłopem pańszczyznianym, a więc „związany" z właścicielem wsi nietylko ekonomicznie, ale stosunkiem zależności prawnej, której mieszczanie w tak wielkim stopniu nigdy nie znali.

W r. 1832 wydał we Lwowie p. Konstanty Leliwa Słotwiński, przełożony, Zakł. narod. im. Ossolińskich, właściciel wsi Głobikowy i b. komisarz cyrkułowy — popularną broszurę dla chłopów p. t. „Katechizm poddanych galicyjskich o prawach i powinnościach ich względem rządu, dworu i samych siebie." Jest to wyborne źródło dla poznania stosunków ludności wieśniaczej polskiej i rusińskiej w Galicyi z ostatnich czasów istnienia poddaństwa w Austryi. Autor, chcąc chłopom wytłomaczyć ich „prawa i powinności," powołuje się często na Pismo św. i przytacza zeń między innemi ustępy: „W pracy będziesz jadł z ziemi po wszystkie dni żywota twojego; w pocie oblicza twego będziesz pożywał chleb twój," lub: „Bądźcie posłuszni swym panom z wszelką bojaźnią, nietylko dobrym i skromnym, ale też i złym." Rzeczywiście te biblijne cytaty streszczają krótko i jasno „łączność" gospodarczą i prawną chłopa pańszczyźnianego z „dworem" szlacheckim i zarazem wskazują, dlaczego i o ile prawodawstwo owoczesne zajmowało się chłopem dość skrupulatnie. Zajmowanie się to — mimo swego przeważnie negatywnego charakteru społecznego — nagromadziło jednak dość liczny, choć dotychczas niezużytkowany wszechstronnie materyał źródłowy dla odtworzenia historyi chłopa polskiego i obecnie mamy już kilka rozpraw prawno-historycznych, które badania nad przeszłością ludności wieśniaczej w Polsce posunęły znacznie naprzód. *Specyalnie* zajmują się historyą chłopów: rozprawy Lubomirskiego — dawniej, a obecnie profesorów krakowskich: Ulanowskiego i Piekosińskiego. O resztkach wolnych chłopów w Polsce średniowiecznej pisał prof. Małecki, a krótki całokształt i historyę ich w Królestwie Polskiem podaje dr. A. hr. Roztworowski w pracy niemieckiej p. t. „Die Entwinckelung der bäuerlichen Verhältnisse in Königreich Polen im XIX Jahrhd" (r. 1896). Oprócz tych prac specyalnych, i pominąwszy ogólne kompendya historyi polskiej, są stosunki chłopskie średniowieczne — naturalną drogą rzeczy — punktem wyjścia dla badań nad genezą b. państwa polskiego, a więc w „Chrobacyi" prof. Wojciechowskiego, w dziełach prof. Piekosińskiego, poświęconych wyjaśnianiu i obronie teoryi najazdu i u jej przeciwników, tj. prof. Małeckiego i Balzera. Stosunki chłopskie w Polsce nowożytnej są dotąd mniej zbadane, bo oprócz pracy prof. Ulanowskiego: „Wieś polska pod względem prawnym od XVI—XVIII w." (r. 1894) zajmują się niemi tylko dzieła Pawińskiego i Korzona, poświęcone wogóle wewnętrznym dziejom b. Rzeczpospolitej polskiej.

Główną specyalną rozprawą, poświęconą historyi chłopów w Polsce średniowiecznej, jest prof. Piekosińskiego: „Ludność wieśniacza w Polsce w dobie piastowskiej," drukowana w Krakowie 1897 r., a krytykę podstawowych poglądów autora podał 1898 r. w lwowskim „Kwartalniku historycznym" prof. Balzer p. t. „Rewizya teoryi o pierwotnem osadnictwie w Polsce." Rozbierając tę „Rewizyę" w „Przewodniku nauk. i lit.," dorzuciłem także od siebie kilka szczegółów w szkicu p. t. „Przyczynki krytyczne do rozprawy prof. Balzera itd.," wogóle jednak podzielałem zapatrywania autora. Pośrednio zwraca się przeciw wielu poglądom Piekosińskiego także rozprawa Małeckiego, drukowana przed kilku laty w „Kwartalniku historycznym" p. t. „Ludność wolna w księdze Henrykowskiej." Wyniki tej rozprawy stara się Piekosiński w pracy swojej obalić, ale bez skutku. Ten spór naukowy odbywa się na tle rodowodu państwa polskiego, który, jak wiadomo, tłomaczy Piekosiński najazdem znormanizowanych częściowo plemion słowiańskich „lechickich" z za Odry na lury nadwiślańskie — „polskie." Najazd ten miał się odbyć przypuszczalnie w VIII w. pod książętami z rodu Leszków, później Piastów i narzucił wolnej ludności nadwiślańskiej władców, otoczonych dynastyczną szlachtą z herbami runicznymi. Cała ziemia przeszła na własność prywatno-prawną rodu książęcego, a ludność podbita, „przypisana" do roli, stała się poddańczą, wieśniaczą, z pośród której dają się jeszcze wyróżnić tylko niewolnicy szlachty, pochodzący z jeńców wojennych i chłopi, przeznaczeni do służby po grodach, t. zw. „narocznicy." W miarę jak najpierw kler, dążący do samorządu kościelnego, a od czasów Krzywoustego, także rozrodzona szlachta, przeszli drogą nadań książęcych do posiadania prywatnych dóbr ziemskich, wówczas także część „przypisańców" księcia stała się „przypisańcami" duchowieństwa i szlachty, a zarazem drogą przywilejów przelaną została najpierw częściowo, a później coraz w większym stopniu władza kasztelanów, czyli „panów" grodnych nad chłopom, na właścicieli dóbr prywatnych. Cały ten wywód Piekosińskiego wytrzymuje krytykę źródłową o tyle tylko, o ile stwierdza, że chłopi w Polsce piastowskiej byli od najdawniej znanych czasów rzeczywiście „przypisani" do gleby i podlegali w zupełności władzy książąt zarówno administracyjnej, jak i sądowej, wykonywanej zastępczo po „grodach" warownych przez kasztelanów, a następnie — w dobrach prywatnych zostawali pod taką władzą kleru i szlachty, jeśli uwolnieni zostali przywilejami książęcymi od „ciężarów prawa polskiego," tj. od władzy „panów" grodowych. Czy ta częściowa zmiana dokonaną została dopiero za Krzywoustego — rozstrzygnąć się nie da, ale prawdopodobniejszem jest, że weszła w życie stopniowo, przez dłuższy przeciąg czasu. Także przeciwnicy teoryi najazdu, Małecki i Balzer, nie przeczą, że chłopskie poddaństwo grodowe rozwinęło się w czasach bardzo odległych i że zna je już Gallus, ale sądzą, że fakt ten *nie musiał* powstać jako wynik najazdu plemion zaodrzańskich, lecz przeciwnie, że rozwinął się stopniowo drogą czysto wewnętrznej ewolucyi społeczeństwa polskiego, dążącego pod wpływem różnorodnych—gospodarczych, obronnych i wyznaniowych czynników — ku upaństwowieniu, a więc i zróżniczkowaniu się stanowemu z władzą centralną, książęcą na czele. W tak zwanej księdze Henrykowskiej, źródle, pochodzącem z XIII w., odnalazł Małecki znaczne resztki wolnych chłopów, wykrywa je także Balzer, co stanowczo sprzeciwia się wyjaśnieniu poddaństwa chłopskiego w Polsce piastowskiej teoryą najazdu; zapatrywanie zaś prof. Piekosińskiego, że ci wolni chłopi są późniejszą formacyą społeczną, nie wytrzymuje krytyki. Są to natomiast przeżytki epoki najdawniejszej, w której „przypisani" chłopi jeszcze nie istnieli.

Epokę tę, którą Piekosiński cofa przed najazd szlachecki, przedstawia sobie ten autor jako powolne osiedlanie się rolników słowiańskich w dorzeczach Wisły, indywidualnie lub *rodzinami*, które opanowane przez się grunta zabierały na własność prywatną i osobiście dziedziczną. Ten pogląd utrzymywał się zwycięzko w nauce głównie dlatego, że nie zwracano nań uwagi; uczynił to dopiero Balzer i wykazał, że pierwotni osiedlońcy nadwiślańscy nie znali wcale jeszcze ani życia rodzinnego, w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, ani też własności indywidualnej. Przeciwnie cały szereg wskazówek, a nawet bezpośrednich dowodów źródłowych stwierdza, że najdawniejsze osady w dorzeczu Wisły były społecznie *organizacyami radowo-plemiennemi z własnością wspólną*, tj. tak samo, jak wszędzie u ludów nieupaństwowionych. Gospodarcze, prawne i obyczajowe przeżytki tej prastarej organizacyi rodowej przechowały się aż do czasów nowych i najnowszych zarówno u chłopów, jak i u szlachty, a nawet w prawie spadkowem rodu Piastów, co potwierdza nietylko zapatrywanie na *rodowy* początek społeczeństwa polskiego, ale pośrednio jest także jednym z dowodów przeciw teoryi najazdu. Co więcej, Balzer złączył w ten sposób genezę państwa polskiego z badaniami etno- i socyologicznemi; wykazał zarazem, że prastary ustrój rodowy plemion nadwiślańskich rządził się zgromadzeniami rodowców, czyli wiecami, ale sądzę, pomylił się w tem, że zaprzeczył także zapatrywaniu Piekosińskiego na genezę poddaństwa chłopskiego w Polsce z faktu władania ongi *bezpośredniego* całą ziemią przez ród książęcy. Przemawia za tem fakt przeżytkowy — potwierdzenie wszelkich zmian własności przez książąt i królów aż do XVI w., oraz to, że stosunek rodu książęcego Piastów do całego kraju miał wybitny charakter prywatno-prawny i że znana ze źródeł średniowiecznych własność prywatna ziemi kleru i szlachty ma zwykle początek w nadaniach i przywilejach książęcych. W chwili śmierci Krzywoustego Polska była rozdrobnioną nietylko administracyjnie, ale i ekonomicznie między książąt podziałowych, kler i szlachtę. Chłop jest jeszcze przeważnie „przypisańcem" lub „narokowcem" *książęcym pod władzą grodową*, ale po części już także przechodzi w poddaństwo prywatne z władzą *patrymonialną*. Ludność wiejska nieszlachecka, wolna, utrzymuje się jeszcze tu i owdzie, ale tylko jako zanikająca doszczętnie przeżytkowa formacya społeczna.

(C. d. n.).

Dr. Kazimierz J. Gorzycki.

DZIEJE WYSIŁKU FIZYCZNEGO.

IV.

Umiejętność łożenia długiego a systematycznego wysiłku staje się jakby drugą naturą człowieka, to znaczy potrzebą, której należy zadość uczynić. Ten cenny dorobek kultury wiekowej pojawia się w organizmie, pociągając prawdopodobnie za sobą cały szereg mniej lub więcej głębokich zmian fizyologicznych. Jak wywczasowane długim odpoczynkiem mięśnie wymagają ćwiczenia, tak samo stan fizyologiczny, stworzony w ciągu stuleci bezmyślnej lecz systematycznej pracy, żąda, ażeby zużytkowano jego napięcie. Taki organizm nudzi się i czuje pustkę, a nawet apatyę, jeśli nie posiada roboty, którąby zapełniła chwile wolne. Działalność mięśni lub umysłu była ongi dla istoty ludzkiej tylko środkiem zaspokojenia głębszych i nieodzownej-

szych instynktów, środkiem, jedynie w wyjątkowych okolicznościach dostarczającym sam z siebie przyjemności pracującemu. Lecz w szeregu pokoleń jestestwo człowieka tak wżyło się w tego rodzaju systematyczne wydatkowanie energii, iż to, co było niegdyś środkiem, zamieniło się na cel, na *Selbstzweck*, jak brzmi udatny termin języka niemieckiego, tak samo jak śpiew ptasząt ze środka czarowania zmysłów samiczki przekształcił się na przyjemne ćwiczenie pewnych mięśni niezależnie od skutków, wypływających z takiego wysiłku. Istota ludzka gotowa jest pracować dla samej sztuki — pracowania. Naturalnie nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby można było znajdować jakąkolwiek rozkosz w nadmiernem a bezmyślnem łożeniu wysiłków. Pragniemy jedynie zaznaczyć, iż jeśli myśl jakaś i pobudka wewnętrzna, zrozumiała, przyświeca naszej działalności fizycznej, a przytem będzie zachowaną pewna miara w wydatkowaniu energii oraz pewien płodozmian w wyjaławianiu mięśni, wówczas praca stać się może dla nas najwyższem zadowoleniem, rzeczywistą rozkoszą.

Człowiek pierwotny potrzebował ćwiczenia mięśni, jak zwierzę na stepie — przerywanego, oddzielonego długimi odpoczynkami. Cywilizowany, który w łańcuchu wielu pokoleń przodków przeszedł szkołę napiętej działalności, łaknie nietylko wysiłku, lecz nadto systematycznego, nieznającego przeciągłych pauz.

Długa, prawidłowa praca utraciła swój dawny odrażający charakter, byleby tylko pewne pierwiastki były obecne w dokonywanej robocie i usuwały jej bezmyślność. Jeśli weźmiemy dwa krańcowe ogniwa działalności fizyologicznej — to, które nazywamy zabawą lub rozrywką, i drugie, słynące jako praca, to są one oddzielone nawzajem taką głęboką różnicą, że nie może postać najmniejsza wątpliwość co do ich odmiennej natury. Ale przeciwstawność traci zupełnie swoje ostre rysy, gdy zwrócimy uwagę w kierunku szczebli pośrednich. Linia demarkacyjna ulega wtedy zatarciu. Dorobek naszego wieku polega między innemi na tem, że przesuwają coraz dalej, mianowicie sprawia, że to, co było dla naszego dalekiego pradziada nieprzyjemnym wysiłkiem, dla nas przedstawia się inaczej — jest rzeczą przyjemną. To, co ongi było pracą, przekleństwem, od przyrody lub społeczeństwa ciążącem na rodzie ludzkim, jest, a przynajmniej być może, w pewnych granicach, zabawą.

Nastręcza się więc pytanie, gdzie zaczyna się praca, gdzie zaś się kończy zabawa. Może użyliśmy niezbyt stosownych terminów, zamiast których należałoby wyszukać innych. Może właściwiej trzeba byłoby powiedzieć: gdzie znajduje swój kres przyjemne, a gdzie i kiedy zjawia się nieprzyjemne ćwiczenie mięśni i wogóle uzdolnień.

Niewątpliwie melodyjne wydobywanie głosu z gardła, czyli, jak mówią pospolicie, śpiew, stanowi dla osób, posiadających uzdolnienia w tym kierunku, ćwiczenie, połączone z wielkiem zadowoleniem. Niejedna dziewucha wiejska nuci od ranka do wieczora: z piosnką na ustach wstaje; piosnką osładza sobie żmudne godziny robót w domu, może nawet z piosnką kładzie się do spoczynku. Napewno zdziwiłaby się mocno, gdybyśmy jęli jej wykazywać, że istnieją takie warunki, w których śpiew może stać się katuszą jak najcięższą. A przecież często tak się dzieje na świecie, w którym wszystko, od honoru i powabów ciała, podlega sprzedaży i targowi. Są śpiewacy, którzy zamienili swobodne ćwiczenie swego wyjątkowo ukształtowanego gardła na źródło zarobkowania, którzy winni śpiewać, chociaż sercu chce się może płakać z rozpaczy, i to śpiewać z dnia na dzień, nawet z godziny na godzinę.

To, co jest rozrywką dla dziecięcia wioski, przeinacza się na zajęcie nużące i może rujnujące organizm. Różnica bynajmniej nie wypływa z tego, ażeby wysiłek mięśni w jednym przypadku polegał na czem innem, niż w drugim, tylko na nadmiernem napięciu, tylko na przedłużonem po za właściwe granice ćwiczeniu, przedewszystkiem na wyrugowaniu z niego pobudki subjektywnej, na nadaniu mu charakteru automatycznego.

Praca kosiarzów na łące lub osób, grabiących siano, wcale nie należy do pociągających, w takiej postaci, w jakiej istnieje; jest to wysiłek mozolny, który powtarzany w ciągu paru tygodni z dnia na dzień, odbiera umysłowi polot, twarz brudzi wyrazem znużenia i bezwładności duchowej. Jak na to zajęcie patrzą utrzymujący się z niego, o tem wymownie świadczą spojrzenia pełne politowania, jakie zasyłają paniczowi, który na lato przybył na wieś bąki zbijać i nie posiada się z radości, gdy spędził parę godzin na łące z grabiami w ręku. A jednak nie oni, tylko ów dobrowolny robotnik ma słuszność po swojej stronie. Mięśnie jego, nie wdrażane do wysiłku fizycznego, znajdują jak największe zadowolenie w pracy stożenia siana lub podawania go widłami na wóz.

I znowu powtarza się to samo, czemu przyglądaliśmy się w poprzednim przykładzie. Mianowicie praca jest dla jednych rzeczą przyjemną, dla innych przedstawia charakter wręcz przeciwny, przybiera zaś go dlatego, że przedłużono ją po za wszelką godziwą miarę, że, co najważniejsza, zamieniono je na zajęcie bezmyślne i automatyczne, że odjęto jej wszelkie przymioty swobodnej gry uzdolnień fizyologicznych.

Zabawa jest wysiłkiem mięśni, nie doprowadzonym do nadmiernego znużenia lub połączonym z pewną przyjemną pobudką, praca — wydatkiem tej samej energii, dokonanym w wręcz przeciwnych warunkach. Przynajmniej tak rzeczy stoją, jeśli je rozpatrujemy z punktu tylko fizyologicznego, bo ze stanowiska zadań społecznych pracą będzie wszelka działalność, skierowana w celu otrzymania pewnych rezultatów pozytywnych. Że jednak nie wszystko w życiu układa się według tego szematu, jest to zupełnie zrozumiałem. Każdy z nas po zajęciach zarobkowych ma pewną słabostkę: ten pielęgnuje kwiaty, inny poświęca się nauce lub muzyce, ktoś na wzór Gladstone'a gotów drwa rąbać lub posiada w domu warsztat tokarski. Wkładamy w te wczasy niekiedy bardzo wiele pracy, nawet nie jeden fachowiec nie powstydziłby się takiego wysiłku, a jeśli nie zawsze możemy pochwalić się wynikami, pochodzi to z naszego dyletantyzmu. Powszechnie uważają takie zajęcia za fanaberyę, acz my łożymy tam sporo wydatku siły mięśniowej. Okoliczność ta powinna nas przekonać, że celowe wysiłki, niczem szczególnem nie odróżniające się od działalności zarobkowej, przestają być dla nas czemś uciążliwem, jeśli bodźce podmiotowe zachęcają nas i prowadzą.

Trzeba przy rozbiorze takiego zajęcia amatorskiego uwzględnić jeszcze inną stronę.

Wielu takim dyletantom-muzykom, ogrodnikom, stolarzom zdaje się, iż wziąwszy się do zarobkowania w ulubionej sferze, znajdą głębokie zadowolenie. Rzeczywistość rozprasza złudzenia. Jak łąka, urocza z daleka, lecz grząska i błotnista, gdy nogi na niej stanęły, tak ukochany zawód zaczyna wtedy ciążyć. Moraliści, którzy rzadko bywają psychologami, nie mają dość wyrazów potępienia na taką lekkomyślność, aż nazbyt często przytrafiającą się w życiu, a mądrość ludu uogólniła takie smutne doświadczenia w przysłowiu, iż tam dobrze, gdzie nas niema. Mści się na nas to lekceważenie, z jakiem traktujemy głosy natury ludzkiej. Pewne zajęcia były „rozrywką," bo wypływało z pobudki subjektywnej, bo wola nasza je regulowała, bo wreszcie zmęczenie nie posiadało charakteru systematycznego. Z chwilą, w której zamieniliśmy je na źródło zarobku, sprawy przybrały zgoła inny obrót, zostaliśmy jak woły wprzężeni w jarzmo i musimy je dźwigać na przekór usposobieniom duszy naszej, nie mogąc go odłożyć jak, wtedy, gdy było tylko odpoczynkiem. Winniśmy w ruch wprawiać wciąż te same mięśnie i te same uzdolnienia z dnia na dzień, monotonnie i jednostajnie — są one wyczerpane taką wyłącznością wówczas gdy inne strony naszego jestestwa, głodne i dlatego krnąbrne, szemrzą i rokoszem swoim potęgują ciężar na nas spoczywający. Cokolwiek moraliści, ci symplicyusze, widzący przed sobą nie żywe istoty, tylko martwe formułki, prawiliby na temat stałości, przyrodzenie nasze, jak pole, potrzebuje płodozmianu: kiedy na tym samym kawałku będziemy z roku na rok siali to samo zboże, chwasty będą coraz bujniejsze, a ono coraz lichsze — jeśli chcemy wyplenić zielsko, wprowadźmy przedewszystkiem inny gatunek pożytecznej rośliny.

Istnienie pobudki subjektywnej, mniejsza czy wypływającej z upodobania w pewnej czynności lub ze współzawodnictwa i ambicyi, wreszcie konieczność ćwiczenia w sposób płodozmianowy naszych sił i zdolności, oto wielkie zasady, które, urzeczywistnione w zakresie działalności fizycznej, wydałyby rezultaty nieoczekiwane, zwłaszcza jeśli weźmiemy jeszcze pod uwagę ów dorobek, zmuszający mięśnie do łaknienia systematycznego wysiłku. Forier zastanawiał się nad tą kwestyą. Poszukiwał takiego ukształtowania więzi społecznej, przy którem praca byłaby swobodną grą uzdolnień, namiętności i instynktów. Nie posiadał wskazówek, jakiemi rozporządza nauka dzisiejsza. Zrozumiał przecie doniosłość zrzeszenia, do którego wprowadził podniętę, ambicyę i rytmikę ruchu i melodyę. Tam, w jego mrzonkach, na „giełdzie pracy," trybunale gospodarczym gminy złożonej z paru tysięcy członków, odbywają się codziennie rozprawy co do tego, kto w dniu następnym jaką będzie spełniał robotę, a pociągowi zmienności wyznaczono jak najszerszą inicyatywę.

Ale utopia utopią, rzeczywistość zaś rzeczywistością. Zaznaczamy więc tylko ogromną doniosłość wytwórczą oparcia pracy na zasadach przez nas wyłożonych; kładziemy nacisk na istnienie w organizmie nowoczesnego człowieka bardzo ważnego dorobku fizyologicznego, sprawiającego, iż ćwiczenie mięśni ze środka stało się celem; stawiamy przed umysłem czytelnika objawy *Sitzfleis*s u niektórych uczonych i artystów, wreszcie zwracamy jeszcze uwagę na coraz liczniejsze stosowanie maszyn, na wzrastające ujarzmianie sił przyrody, na potęgującą się centralizacyę, tak zmniejszającą *faux frais* społeczne. Jedna grupa wyszczególnionych czynników, mianowicie fizyologiczno-duchowa, otwiera przed nami widnokręgi niezmiernego podniesienia się wydajności wysiłków ludzkich, druga natomiast, warunków techniczno-społecznych, pokazuje nam, że doba dzisiejsza skraca dziedzinę tej działalności, która odznacza się największą monotonnością i bezmyślnością. Obliczano, że przy rozszerzeniu centralizacyi na całą produkcyę i zastosowaniu najlepszych narzędzi, czterogodzinna a nawet trzygodzinna praca dzienna zdołałaby zaspokoić potrzeby społeczeństw. Może jest nieco przesady w tym obrachunku, w każdym jednak razie ist-

nieje możliwość, iż w przyszłości przekleństwo bezmyślnego wysiłku, od przyrody ciążącego na rodzie ludzkim, znacznie zmniejszy rozmiary swoje. Cóż na to rzeknie ów dorobek wiekowy, wymagający systematycznego ćwiczenia mięśni i głowy? Poeta Morris i estetyk Ruskin odpowiadają na to hasłem powrotu do pracy ręcznej, ilekroć połączoną jest z artyzmem lub przebywaniem na świeżem powietrzu. U Morrisa ludzie przyszłości stożą siano, nie posługując się maszynami, używanemi po tamtej stronie Atlantyku, tylko staroświeckiemi widłami. Takie zdrowe, oparte na pożytecznym rezultacie zajęcia powinny zastąpić bezmyślną gimnastykę — najnudniejszy sport ze wszystkich. Lecz przedewszystkiem wzrośnie działalność, skierowana na cele artystyczne. Korzystając z ułatwień, dostarczanych przez automaty i powierzając im dokonanie zadań nużących i bezmyślnych, człowiek może, w zakresie sprzętów życia codziennego, stworzyć taki artyzm i indywidualność, przed któremi zgasną tradycye mistrzów średniowiecznych. Nawet trzeźwi ekonomiści przyznają prawdopodobieństwo takiego rozszerzenia sztuki w miarę wzrostu wydajności pracy ludzkiej. Hobson np: pisze:

„Bezgraniczna rozmaitość, którą przyjąć mogą formy artyzmu, zależne od indywidualności artysty, zapobiegnie przejściu ich kiedykolwiek do szeregu przemysłów rutynicznych, jakkolwiek nawet w sztukach pięknych okażą się pewne pierwiastki, które przechodzić będą w posiadanie wspólne i w miarę tego, przestawszy interesować jednostkę, zamienią się na działalność rutyniczną. W każdej formie pracy ludzkiej postęp przemysłu rutynicznego będzie niezbędnym warunkiem rozszerzenia swobodnego wyrazu indywidualności.“

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

ANTONI LANGE.

II.

To, co powiedzieliśmy poprzednio o formie, określa tylko jej najogólniejsze znamiona; podobnież twierdzenie, iż poezya Langego jest nadewszystko myślową, w małym tylko stopniu daje pojęcie o indywidualności pieśniarza. Musimy określić, jakie szczególne właściwości posiada owa refleksya?

Tu i owdzie spotkamy u niego modne dziś narzekania, iż myśl zatruwa jego duchową istotę, sciera delikatny pyłek z kwiatu uczucia, ręce odbiera moc do czynu itp. Zawodzenia te, tak często fałszywie zgrzytające w naszem uchu, i u Langego również sprawiają wrażenie nieszczerości, o ile chodzi o podmiotowe uczucia twórcy, a wrażenie nieporozumienia, o ile on przedmiotowo stara się odzwierciedlić ducha naszego pokolenia. Nie każda myśl jest analityczną, a powtarzanie na wiarę formułek nie świadczy o jej samodzielności. W usposobieniu Langego trudno dopatrzeć się uzdolnień do rozbiorczego działania umysłu. Analiza posługuje się ostrymi skalpelami. U naszego zaś poety spotkamy się często z pewną naiwnością, która nawet zdziwić może, kiedy np. on, bawiąc się w związywanie szeregów cyfrowych, dochodzi do wniosku, że słynne „44“ z „Dziadów“ jest „Ojcze naszem,“ lub kiedy dość pobłażliwie wykłada i ocenia niedorzeczną teoryę René Ghila, z której natrząsają się sami „dekadenci.“

Najchłodniejsza na pozór analiza zadaje rany bolesne i głębokie wskutek zeŝrodkowanej a ukrytej namiętności, która kieruje ręką badacza; namiętność tę wyczytamy z nachmurzonych brwi, świdrującego połysku oka, z zaciśniętych ust. Tak napiętego uczucia daremnie poszukiwalibyśmy u Langego. Jakże analiza ma sprawiać w duszy naszej spustoszenia, jeśli jej wyniki przyjmujemy z pewną łagodną obojętnością? I stąd owe przestrogi: „nie badaj uczucia!“, owe jęki: „Nie, jam wcale nie kochał! Syny rozczarowania, newrozy, zwątpienia — kochać nie umiemy“ itd. — chyba tylko złośliwy uśmiech pobłażania na usta nasze wywołać potrafią...

Analiza za punkt wyjścia obiera poszczególne zjawiska, pojedyncze uczucia, a Lange właśnie nie zatrzymuje się nad pojedynczemi. Skarży się, że serce jego „mózgiem przesiąknięte.“ A przecież erotyki jego to nie badania różnych postaci wzruszeń miłosnych; rozpływają się one w jakąś mglistą oponę, utkaną ze wspomnień, rozmarzonej melancholii, reminiscencyj politycznych i wreszcie rozmyślań treści ogólniejszej.

Otwórzmy pierwszy zbiorek jego poezyj. Znajdziemy tam utwór „Vox posthumu,“ którego rzekomym autorem i bohaterem jest człowiek dotknięty „rozstrojem systemu nerwowego,“ „psychicznem, organicznem rozdwojeniem, objawami choroby wieku.“ To już chyba będzie najprawdziwsza z prawdziwych analiza. Istotnie autor błaga o przebaczenie, jeżeli „czyje serce wyrwał z równowagi i duszę splamił, *odkrywając w złudzeniach prawdy szkielet nagi*, i mówiąc tam, gdzie głucho milczeć należało.“ W swym „głosie pośmiertnym“ przynajmniej, niestety, nie rozwiał ani jednego złudzenia, nie usiłował nawet tego uczynić. Dowiadujemy się tylko, że bluźnił, zdeptał wszelką świętość (jaką i w jaki sposób?), czcił haszysz, upojenie, pychy nieugiętość, nicestwo, nienawiść itd. Jak Baudelaire był jednocześnie nożem i raną, wiecznie patrzył w swą pierś rozdartą... Mimo to żywszym jest może, niż sędziowie jego: „ludzie ci porządni, jak ślimaki moralni, jak ryby rozsądni.“ Bo ci nieporządni, niemoralni i nierozsądni wiedzą, że „w piersi naszej Chrystusy żyją i Nerony; w piersi naszej bogowie żyją, i bydlęta... bluźnim, choć ku bóstwu dążym w nieśmiertelność... nasze bluźnierstwo — to tylko modlitwa... Bo jeżelim się modlił do zimnej mogiły, *to nie przez to, że serca zastygły mi bicia*... lecz żem życie *zbyt kochał*, aby pragnąć życia“ — życia szarego, martwego, blaskiem idei, ofiary nierozświetlonego. W tych zbłąkanych żyją, co prawda, „wszystkie dysharmonie, któremi potępiony wiek dzisiejszy płacze.“ Ale z rozdźwięków doby przełomowej narodzi się kiedyś pieśń harmonijna, pieśń wesela, wywinie się nowy ideał, który „ucieleśni świat odrodzony w wiecznej wiośnie i zieleni.“

Nie sądzę, aby w tym poemacie czytelnik dojrzał rozbiór poruszeń duszy. Poeta przebiegł myślą szereg faktów uogólnionych, mających znamionować nasze pokolenie i usiłował wskazać głębsze dla rzeczywistości owej przyczyny, a w ten sposób dążył do pewnej syntezy, do wywołania harmonii ze zgrzytów. Talent, którego istotę na pierwszy rzut oka stanowi rozlewność, retoryczność, bierne powtarzanie skądinąd znanych melodyj, okaże się w naistotniejszej swej treści „syntetycznym, nie naśladowczym“— powtórzymy to za jednym z krytyków. Właściwość tu wskazana najjaskrawiej może uwydatnia się w utworze „Godzina,“ który nietylko ujawnia organiczną dążność poety do syntezy, lecz nadto w pewien systemat łączy wszystkie niemal poruszone przezeń przedmioty jego natchnień i dlatego jest niby ogniskiem, z którego pada światło wstecz na całą jego działalność twórczą. Z tego względu poświęcimy „Godzinie“ nieco uwagi. Poemat ów — to wyraz wzlotów ducha wieku naszego, pragnącego rozwiązać uciskające ludność zagadnienia społeczne i filozoficzne; pisany prozą, przypomina naraz i przypowieściowy styl Nietzschego, i „Księgi pielgrzymstwa,“ a najwięcej może „Poemat niedokończony.“

Poemat rozpoczyna się dyalogiem pomiędzy geniuszem Czasu, tą niewcieloną jeszcze „godziną,“ ku której tęsknie wyciągamy ramiona, a Artemidą, geniuszem przyrody. Kiedyś Artemis spotka swego Endymiona, a wtedy nastąpi okres pogodzenia wszelkich rozdźwięków, jasności i harmonii. Ale jeszcze nie nadeszła, jeszcze nie objawiła się owa „godzina,“ ona się dopiero *staje*; a każda boleść, każdy jęk, każdy wzlot ku niewidomemu jeszcze słońcu zamienia się na pierwiastki jej ciała. „Jej cierpienie—to źródło szczęścia na jutro.“ Geniusz czasu ukazuje Artemidzie w przestrzeni ścieżki, któremi kroczyła przeszłość ku upragnionemu jutru. Dostrzegamy tu łunę *Pogrzebu Shelleya* (podkreślać będę tytuły utworów). Bliższa chwili obecnej jest *Silith*, żona Adama, co raj opuściła, a teraz świadomego raju pożąda i prowadzi za sobą tłumy niewieście... *Wyrwidąb i Waligóra*, których losy przeddziejowe z takiem uniesieniem wyśpiewał poeta, ukażą się nam jako uosobienie ciżby, jakby uśpionych— głodem, co wnętrzo ich trawi i mrokiem, który wieki w ich głowie zasiały. Ale i oni już budzą się do życia i pragną usłyszeć *Słowo* — to słowo, które urzeczywistni „prawdy najwyższe królestwo,“ kiedy panować będzie miłość. Chór myślicieli skarży się, iż jest rozerwanie między *Słowem a Cyfrą*, wiedzą empiryczną, doświadczalną a poezyą, wzlotami ku syntezie — dwiema drogami, któremi umysł ludzki chce poznać świat — ducha i naturę. Lecz im bardziej rozświetlają się myślą zjawiska, wyodrębnione cząstki przestrzeni, tem silniej wokoło gęstnieją mroki. Marzyciele wyrywają się z Rzeczywistości ku Możliwości, a znajdują jeno cierpienie. Innym dolega chaos pragnień i uczuć bezładnych (*Vox posthuma*). Pieśń żalu chóru niewieściego przerywają szydercze głosy męzkie. Po każdym jęku jakiś głos złowieszczy za jedyną przystań wskazuje śmierć i nicestwo. Lecz arcykapłan świątyni Artemidy błogosławi i tym czarnym krukom, bo *i oni są pracownikami jutrzni nowej ery*, bo w tych duchach zwątpienia, przeczenia i rozpaczy „jest siła niszcząca i burzycielska, która zło wszelkie łamie i jak ostroga ku lepszemu innych popycha.“

I jeszcze, i jeszcze — tyle haseł, tyle kłótni, tyle walki, tyle znoju o dobro dnia dzisiejszego. W tym gwarze mrowiska ludzkiego, gdzie biją oklaski królom miernoty, gdzie najwyższem bóstwem jest *Louis d'oro regnante* (zobacz w „Studyach“ Langego artykuł o modernizmie), poeta naprożno dobywa głosu. Więc idzie na dolinę oszołomień (*Balady pijackie*), gdzie *Venus-żebraczka* rozesłała swe kapłanki. Co prawda, poezya Langego niewiele ma wspólnego z „doliną oszołomień“ i służebnicami Wenery. Być może atoli nie będzie zbyt śmiałe moje przypuszczenie, gdy powiem, że poeta tłomaczy w odnośnych ustępach wnętrzną logikę t. zw. dekadentyzmu. Ale idźmy dalej. Młodzieńcy skarżą się na pustyni, że zatracili wiarę, a czują jej potrzebę, zatracili tajemnicę woli, natury, natchnienia i otrzymują na to odpowiedź, że z chaosu stanie się kiedyś ład. W pustelnikach tych rozpoznamy łatwo Ibsenów, Strindbergów, autora „Zarathustry“ („Chwała samotności. Potęż-

nym jest człowiek tylko wówczas, kiedy stoi sam!"), symbolistów, jak Maurice, wszystkich tych zresztą, co w pogoni za prawdą nadziejową i nadspołeczną odwracają się od życia rzeczywistego. Jednemu z młodzieńców poeta każe przemawiać za siebie. Ten przekłada duchom w rozterce wołającym, że „samotność to wydarła nam tajemnicę woli i szczęścia, natchnienia i miłości .. *tylko w magnetyzmie odczucie pragnień powszechnych* jest wola i szczęście, miłość i natchnienie..." Ale na drodze ku temu odczuciu — przejść nam należy przez jeden jeszcze etap — *Spowiedź*. „Z niej to wypłynie nowa era." Co to jest *spowiedź*, wytłomaczy nam osobny pod tym tytułem poemat. „Cały świat — dusze pojedynczo i tłumy całe... wszystko zapatrzone w siebie — sądzi siebie, siebie rozważa... i winy swe wyznaje..." Uznanie tych win, ich świadomość ma sprowadzić oczyszczenie się i godzinę nowych objawień...

„Godzina tedy jest syntezą, która obejmuje naraz echa doby minionej, rozgwar współczesności, idealne dążenia wieku, i wreszcie całą niemal twórczość Langego, w której swój wyraz znalazły i echa owe, i rozgwar, i dążenia. „Godzina" charakteryzuje poetę i z innej strony, jako idealistę, usilnie poszukującego „słowa," któreby w harmonię związało hałaśliwą wrzawę wołań, nieustannie brzmiącą mu w uchu. Poeta nie doszedł do zgody z samym sobą, i to poczucie na teraz w znacznym stopniu jest dźwignią w jego działalności twórczej. Słusznie tedy powiada, że jego pieśń *staje się* („Moja pieśń"); a przyświeca mu nadzieja, że „słowo" wreszcie znalezione będzie. Zapewniać, że to stawanie się i poszukiwanie nie dotyczy zgoła łamania się z formą, czy troski o wynalezienie dość zajmującego i poruszającego dla publiczności tematu — zbyteczną może byłoby rzeczą.

(D. n.).

A. Drogoszewski.

LITERATURA ANGIELSKA.

G. Woodberry: *E. A. Poe.* — A. Barine: *E. A. Poe.*

(Dokończenie).

Rodowód umysłowy Poego jest zupełnie jasny. W młodości naśladował Byrona i udawał uczucia tytaniczne, zupełnie sprzeczne z istotną jego naturą. Później uległ wpływowi Coleridge'a i Hoffmana.

Od pierwszego zapożyczył wiele ze swych teoryj literackich i z techniki wierszowej, od drugiego—rodzaj opowieści i zdolność nadawania charakteru realnego fantazyom najbardziej wygórowanym ścisłością i prawdą szczegółów. Nie należy zapominać, iż pisał za czasów romantyzmu i ogólnym nastrojem swych dzieł należał do tej szkoły. Racyonalną zaś teoryę psychologiczną, której używał dla wywołania wrażeń strachu, wyłożył w swej „Philosophy of composition". Pokazuje on tu na przykładzie, w jaki sposób napisał słynnego „Kruka" według pewnych reguł. Nie mając jeszcze określonego przedmiotu, postanowił, iż napisze rzecz krótką, wierszem, która miała być tylko piękną, bez żadnych innych celów. Począł więc od wyszukania jakiegoś dziwactwa artystycznego, któreby głównie przykuło uwagę czytelnika. Znalazł wrotkę „nigdy"!(nevermore), która jest dźwięczna i krótka. Ale jak można istocie rozumnej kazać powtarzać jeden tylko wyraz „nigdy!"? Idea zwierzęcia błysnęła w jego umyśle. Z początku pomyślał o papudze, ta jednak śniema w sobie nic mistycznego. Wybrał więc kruka, który bardziej związany jest z odpowiednimi suggestyami. Za interlokutora ptakowi po pewnym namyśle wybrał kochanka, który płacze po zmarłej pani swego serca. W tem jednak trwało pewne niebezpieczeństwo śmieszności, które można było ominąć tylko dyskretnem użyciem czynnika fantastycznego. Kochanek miał więc swem przesądnem wzruszeniem stworzyć atmosferę moralną, która była potrzebną autorowi. Istotnie ptak nabiera w ten sposób charakteru demonicznego i nieziemskiego. Pomimo to wszystko „Kruk" wywołuje wzruszenie wstrząsające. Jest to prawie mistyfikacya, ale dozwolona, gdyż każda sztuka musi używać środków odpowiednich, jeżeli chce wywołać stosowne wrażenie.

Poe chciał wzbudzać w czytelnikach wrażenie strachu, i używał ku temu wszelkich możliwych środków: naprzód idei śmierci i związanych z nią obrazów. Czy dobrze czynimy, zakopując istoty, które są nam drogie? Czy w tem, co nazywamy trupem, nie pozostają przebłyski woli, wystarczające dla cierpień tragicznych? Czy „spokój grobu" nie jest czasem okropną ironią? A zgnilizna i robaki robią swoje. Te kwestye zaprzątały wciąż umysł Poego; wyrażał je wielokrotnie w swych opowieściach (np. „Cień," „Dom Usherów" i t. d.), ale najlepiej w poemacie „Robak zwycięzki".

Poe nie wierzył w natchnienie. „Tworzyć—powiadał—jest to kombinować cierpliwie, starannie i z intelligencyą". Sam kombinował wrażenia straszne, mistyczne, fantastyczne. Chodziło mu właśnie o oddanie, nie myśli, ale wrażeń i suggestyi, tego, co nazywał mgłą umysłową. Pracował w tym kierunku z logiką nieubłaganą, mając wciąż przed oczyma cel ostateczny każdej opowieści, zwracając ku niemu wszystkie epizody i wypadki poszczególne. Tak np. wszystko w „Williamie Wilsonie" zdąża ku scenie ostatniej, gdzie bohater zabija występkiem swe sumienie — tu Poe odmalował swe własne obawy, które alkoholizm w nim wzbudzał. W „Sercu objawiającem" dzieje się odwrotnie: tu sumienie przeważa i zmusza przestępcę do oddania się w ręce sprawiedliwości.

Intencyą „Morelli" i „Ligei" jest wrażenie czegoś widzianego już lub słyszanego, jakkolwiek nie możemy sobie zdać sprawy gdzie i kiedy, a „Milczenia", iż nieszczęście jest stanem naturalnym człowieka: niezniósłlibyśmy go, gdyby przebieg i ruch życia nie odrywał nas od samych siebie i nie rozpraszał. Intencyą „Ducha przewrotności" jest okazanie, iż człowiek przynosi z sobą na świat popęd ku przestępstwu. Każdy robi nieraz rzeczy, których, by czynić nie powinien właśnie dla tego, że nie powinien. Ten zawrót moralny może istnieć jednocześnie z zupełną jasnością umysłu i sumienia. Taż sama myśl rozwinięta jest w „Kocie czarnym". Wszystkie te opowieści wzbudzają w czytelniku niepokój nader natężony. Istotnie, według Poego obok „intencyi" każde opowiadanie powinno mieć na widoku „efekt, który chce wywołać".

„Wybrawszy pewien efekt, który ma być naprzód nowym, a następnie potężnym, pytam się: czy mam go raczej wywołać wypadkami, czy też tonem?—i szukam następnie w sobie kombinacyi wypadków i tonu, która najlepiej tworzy dany efekt." Otóż Poe najczęściej chciał wzbudzać strach paniczny—to był ulubiony jego „efekt". Należy jednak przyznać, iż znał strach bezpośrednio, z własnego doświadczenia; pod tym względem alkohol niewątpliwie wpłynął na jego geniusz, żywiąc go zmorami.

Efekty fantastyczne i mistyczne wywoływał świadomie.

W rezultacie Poe stworzył kilkadziesiąt prawdziwych arcydzieł, tłomaczonych na wszystkie języki i uważanych powszechnie za wzory wyrafinowania artystycznego i literackiego. Pomimo to żywot jego był jednem długiem męczeńskiem głodu. Szczęściem, iż miał ciotkę, która opiekowała się nim jaknajtroskliwiej, nietylko urządzając jako tako materyalną stronę jego życia, ale biegając po redakcyach, gdzie nieraz musiała błagać, aby prace jego przyjmowano. Biedaczka udawała się do znajomych redaktora, niejakiego M. z takiemi prośbami: „Czyby Pani nie mogła pomówić z M. o ostatnim poemacie Edgara? Gdyby go umieścił, Edgar mógłby kupić sobie parę butów. M. ma już u siebie rękopis, zaniosłam mu go w przeszłym tygodniu. Edgar powiada, że jest to najlepszy jego poemat".

Poe był zbyt subtelnym artystą i zbyt oryginalnym myślicielem, aby mógł konkurować z literatami amerykańskimi. Krytyce i publiczności wydawał się on umysłem zwaryowanym, i wszyscy, autorowie, wydawcy, przyjaciele dokładali wspólnych starań, aby go nawrócić na drogę zdrowego rozsądku i prostoty. Powieściopisarz J. Kennedy, protektor Poego, pisał doń: „Czybyś Pan nie mógł napisać kilku fars w rodzaju francuskich wodewilów? Pewny jestem, iżbyś potrafił i mógłbyś mieć dobry zarobek, sprzedając je dyrektorom teatrów w New Yorku".

Redaktorowie wymagali od Poego artykułów „aktualnych", pisał na obstalunek o sporcie, o kuchni, o brukowaniu ulic, układał szarady i rebusy. I pomimo to wszystko wyżywić się nie mógł. Córka p. Clemm, Wirginia, z którą się ożenił i którą czule kochał, umarła na suchoty. Nieszczęśliwy poeta oddał się ostatecznie swemu nałogowi. Zdawał sobie jasną sprawę ze swego upadku, jak to widzieć można z ostatniego jego wiersza: „Na najpiękniejszej z naszych łąk, gdzie tylko dobre anioły mieszkały, stał niegdyś piękny i szeroki pałac. Było to w państwie Myśli, tam on wznosił dumne czoło...

Podróżni, przechodząc przez szczęśliwą łąkę, spostrzegali poprzez dwa jasne okna tłumy duchów, które harmonijnie się poruszały, według rytmu dobrze nastrojonej lutni, koło tronu, gdzie można było widzieć w całym blasku jego sławy panią tego królestwa. Poprzez drzwi piękne wylewały liczne fale śpiewnych Ech, które głosiły chwałę, mądrość i rozum króla.

Dziś, podróżny przebywający łąkę, spostrzega już tylko, poprzez zakopcone okna o czerwonych połyskach, kształty potworne poruszające się fantastycznie, przy szmerze rozdzierającej melodyi, gdy poprzez drzwi wyrywa się tłum widm ochydnych i szyderczych".

Największy poeta Ameryki umarł w nędzy. Teraz uważany jest za chlubę narodowi. W r. 1875 wystawiono mu pomnik w Baltimore.

Dr. L. Winiarski.

ODCZYTY POPULARNE.

Wśród publiczności, uczęszczającej na pogadanki przyrodnicze w Muzeum przem. i roln., a zarówno i śród tych, którzy o nich wiedzą tylko ze sprawozdań dziennikarskich (dodajmy, pisanych przeważnie z podziwu godną niedbałością lub też zdradzających zupełne nieuctwo), dają się słyszeć głosy, podające w wątpliwość wartość tego rodzaju wykładów. Jedni chcieliby zamienić salkę odczytową na coś w rodzaju angielskiego „University Extension," tj. uniwersytetu popularnego, w którym rozmaite dziedziny wiedzy są wykładane przystępnie dla szerszych mas, inni narzekają na zbytnią drobiazgowość twórców programu, którzy jednemu przedmiotowi, jak np. woda, ogień, światło itp. poświęcają ogromną stosunkowo ilość czasu i uwagi. Zdaje się, że obie strony wyrzekające nie mają racyi. Dwojakiego rodzaju

mogą być wykłady, przeznaczone dla ogółu szerszego: już to, jak w wyżej wspomnianem „University Extension,“ prelegenci zamykają w pewnej określonej liczbie lekcyj całość jakiejś oddzielnej gałęzi nauki, już to posiłkują się metodą frebowską, polegającą na tem, że drogą, którą możnaby nazwać odśrodkową, zapoznają słuchaczów kolejno ze zjawiskami świata otaczającego, poczynając od najprostszych i najbliższych aż do najbardziej złożonych i dalekich. Przy stosowaniu tej ostatniej metody każdy przedmiot ulega możliwie najzupełniejszemu oświetleniu z punktu widzenia nie jednej tylko, lecz różnych dziedzin wiedzy. Gdy więc mowa np. o powietrzu, opowiadają nam o jego składzie wewnętrznym (chemia), własnościach fizycznych (fizyka), znaczeniu dla życia (biologia), zastosowaniach w przemyśle (technologia) itd. Mogą jeszcze istnieć pogadanki oderwane, niewiążące się w żadną ściśle swą treścią spojoną całość, lecz wartość ich, jako zbyt przygodnych, nie może być poważną.

Sekcya odczytowa, stanowiąca odłam warszawskiego oddz. Towarzystwa przemysłu i handlu, złożona z ludzi dobrej woli, niecofających się przed nakładem czasu i kosztów, gdy chodzi o dobro społeczne, chcąc usystematyzować nasze luźne lekcye popularne, znalazła się wobec dwu owych metod, z których, zupełnie słusznie, wybrała ostatnią, nazwaną przez nas frebowską. Wykładowi uniwersyteckiemu stał przedewszystkiem na przeszkodzie brak odpowiedniego liczebnie zastępu wykształconej publiczności, do podobnych lekcyj dostatecznie przygotowanej, zastępu takiego, który przez samą ilość mógłby zapewnić byt materyalny wykładom; trudno następnie u nas o prelegentów, którzy mogliby poświęcić odpowiednią do celu ilość godzin swej pracy; wreszcie są inne jeszcze przeszkody, które z trudnością usunąć się dają.

Lecz i tu wprowadzenie powziętego zamiaru w życie nie było łatwem. Należało przedewszystkiem ponieść wiele trudów i pieniędzy na urządzenie sali, która sama przez się nie bardzo nadaje się do wykładów doświadczalnych, na sprowadzenie niezbędnych przyrządów, na dokonanie takich urządzeń, jak oświetlenie elektryczne, wreszcie trzeba było się postarać o prelegentów, o których u nas też jest dość trudno, gdyż większość ich składa się z ludzi, obarczonych mnóstwem zajęć i obowiązków. Lecz wreszcie plan wykonano, i dziś można już chyba twierdzić, że odczyty w Muzeum stały się rzeczywiście śród naszej publiczności popularne i mają zapewnione powodzenie. Ta coraz bardziej powiększająca się liczba wdzięcznych słuchaczów jest poniekąd nagrodą dla projektodawców za to, co uczynili dotychczas, i stanie się dla nich niewątpliwie bodźcem na przyszłość.

Po „wodzie“ i „powietrzu“ w sezonie bieżącym przyszła kolej na „ogień.“ Nie będziemy tu streszczali pojedynczych odczytów, gdyż nie mogłoby to zająć czytelników *Prawdy* i niczego nowego ich by nie nauczyło. Z katedry wykładowej opowiadano nam o źródłach ognia, a więc przedewszystkiem o węglu, o jego własnościach fizycznych i chemicznych, o warunkach jego tworzenia się, o zastosowaniach w rozmaitych gałęziach przemysłu, dalej mówiono nam o oświetleniu i jego dziejach, o tem naturalnem źródle światła i ciepła, jakiem jest słońce, wreszcie o nafcie, gazie i elektryczności. Śród nazwisk prelegentów, oprócz chyba jednego tylko inż. Kipmana, nie widzieliśmy nowych; pp. Znatowicz, Milicer, Kramsztyk, Wróblewski, są to zawsze ci sami, do usług społeczeństwa gotowi nauczyciele, których publiczność nasza przywykła cenić oddawna, a i nazwisko p. Trejdosiewicza, b. profesora uniwersytetu warszawskiego, nie jest jej obce.

O pp. Znatowiczu i Milicerze można śmiało powiedzieć, że są to „prelegenci urodzeni.“ Barwność i płynność wykładu, połączona z wielką jego jasnością, ogromna wprawa w wykonywaniu doświadczeń, które, o ile jest łatwem w pracowni, o tyle zdradliwem na katedrze, czyni ich rzeczywiście zupełnie odpowiednimi dla tego tytułu. Umie również do umysłu słuchacza przemówić p. Wróblewski, któremu tym razem przypadły w udziale zajmujące przezeń opowiedziane dzieje oświetlenia. Jeden z najciekawszych tematów („o słońcu“) dostał się p. Kramsztykowi. Ze zwykłym swoim darem pedagogicznym i z zapałem odmalował on na tle dziejów astronomii stan naszych wiadomości obecnych o tem ognisku niebieskiem i dał opis metod, umożliwiających badanie własności fizycznych i chemicznych słońca. Do najmniej udatnych należał odczyt p. Trejdosiewicza: profesorowi, przyzwyczajonemu do audytoryum uniwersyteckiego, trudno widocznie było nagiąć się do poziomu umysłowego swoich nowych słuchaczów; obarczył więc najzupełniej niepotrzebnie ich pamięć balastem paleontologicznym, a za mało czasu poświęcił temu, co publiczność szerszą bardziej interesować mogło, tj. kopalniom i górnictwu. Nie była również pozbawioną wad pogadanka p. Kipmana: prelegent, widocznie z warunkami większej sali nieobeznany, mówił zbyt cicho, a jednocześnie, nie mając pomocnika dla wykonywania doświadczeń (z wyjątkiem operacyj nad piecem Moissan'a), musiał czynić w wykładzie zbyt długie przerwy.

Tyle o odczytach i prelegentach, a teraz słówko o publiczności. Staje się ona coraz liczniejszą; przewagę niewątpliwie mają kobiety. Tu zaprotestować należy przeciwko zdaniu tych, którzy je posądzają o „flirt naukowy“ na odczytach. Przeciwnie, zaznaczyć trzeba, iż kobiety należą bodaj że do najuważniejszych, najsystematyczniejszych i najwdzięczniejszych słuchaczów. I nic w tem dziwnego, że zjawiają się na odczytach licznie: przecie jest to dla nich jedyna niemal sposobność usłyszenia żywego słowa wiedzy. W składzie swoim publiczność odczytowa zmienia się nieznacznie; spotykamy prawie zawsze większość tę samą. W ten sposób między katedrą a salą zawiązują się nici sympatyi, ułatwiające i uprzyjemniające prelegentom ich zadanie.

Wkrótce rozpocznie się nowa serya „o świetle i cieple“; życzymy jej jaknajzupełniejszego powodzenia.

Mich. Mut.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Koncerty Śliwińskiego. — Wznowienie „Hrabiny.“

Sława, jaką się cieszył u nas dotychczas p. Śliwiński, została nieco przyćmiona, ale na szczęście tylko śród niektórych warszawskich krytyków i zresztą śród nielicznej (prawdopodobnie) muzykalnej, a w gruncie nie wiele znającej się na muzyce publiczności, która, czytając o zarzutach, uczynionych artyście — nieraz słusznych — zapomina o przyznanych mu zaletach.

U nas trzeba być bardzo przezornym i ostrożnym krytykiem, i pisać recenzye tak, aby ta nasza „wysoce muzykalna publiczność“ i dobre i ujemne strony wykonawcy mogła zatrzymać w pamięci.

Ale lepiej jest wiedzieć o słusznych zarzutach i pochwałach, niż czytać bezmyślne i uniesienia...

A takiego przeważnie przyjęcia doznał w krytyce p. Śliwiński.

Zważmy teraz, jak się przedstawia praca tego artysty, i czy rzeczywiście gra już gorzej?

Obszerny jego repertuar, zawierający utwory klasyków, romantyków a nawet i kompozycye nowsze, świadczą wymownie o jego ciągłej pracy artystycznej. Uczuwamy tylko wielki brak utworów swojskich — z wyjątkiem Chopina. Sądzę, że wirtuozowie poniekąd obowiązani mieć to na uwadze, ażeby obznajmiać publiczność w dobrem wykonywaniu z utworami kompozytorów polskich.

Do duchowej wyobraźni wirtuoza najbardziej przemawia Chopin, którego część dzieł o nastroju marzycielskim, bolesnym, jakby bezsilnym — w odtworzeniu p. Ś. nie męczy słuchacza, nie ugniata piersi, bo p. Ś. ma ton silny, pełny i jędrny, a przytem wymowny, za pomocą którego melodyom o charakterze melancholijnym, omdlewającym — potrafi nadać energię żywotną, siłę duchową męzką, a zawsze z nastrojem podniosłym i szlachetnym.

Oto najcharakterystyczniejsza cecha jego gry, przebijająca się w wykonaniu utworów, zwłaszcza Chopina. Ten sam wielki i silny ton staje czasem na przeszkodzie w frazesach melodyjnych tam, gdzie potrzeba poetycznego, cichego, spokojnego nastroju (np. „Kreisleriana“ Schumana nr. 2, albo „Impromptu“ Fis-dur Chopina — początek).

W innych razach, gdzie zachodzi wielka ruchliwość figur muzycznych (np. „Scherzo“ z koncertu Saint-Saënsa), p. S. gra cudownie, jak gdyby z pod jego palców płynął cichy szmer strumyka. Umie on z instrumentu wydobywać odcienie jaknajdelikatniejsze, czyni jednak to najczęściej tylko w ustępach ruchliwych. Widocznie przy *piano* dłuższe dźwięki melodyi mogą stracić na wyrazistości, lecz przez to ona traci na charakterze.

Przecież i p. Barcewicz nie ma równego sobie skrzypka w sile i jędrności tonu, nie mówiąc już o jego odrębności, a jednak i *w melodyjnych* fragmentach — gdzie zachodzi tego potrzeba — doprowadza brzmienie dźwięków do szeptów zaledwie dosłyszalnych.

Należy rzec słówko o pedale, którego p. Ś. nieraz nadużywa („Kreisleriana“), gdzie chaos synkop dysonansowych powiększa w znacznym stopniu nieumiarkowane użycie pedału i czyni wszelkie harmonie niezrozumiałemi. Są to wszakże usterki drobne.

Ig. Pilecki.

W operze wznowiono „Hrabinę“ Moniuszki. Zbyt znane i spopularyzowane są celniejsze jej ustępy, ażebyśmy potrzebowali określać lub wysławiać ten utwór szczerego i silnego natchnienia. Przedstawienie, wykonane pod każdym względem starannie, dało i daje prawdziwą rozkosz nawet tym, którzy dziś w sztuce cenią przedewszystkiem sztuczki techniki. Zdaje się, że tacy wielcy śpiewacy-muzycy, jak Moniuszko, powracają na scenę nietylko po to, ażeby zachwycić wielbicieli melodyi, ale żeby ośmieszyć jej przeciwników i stwierdzić ponownie, że ona pozostanie zawsze duszą opery, dopóki ta istnieć będzie i że jej nie zastąpią najzręczniejsze i najmodniejsze pomysły instrumentacyjne. Każda sztuka musi doskonalić swą formę i swoje środki techniczne, ale one same przez się nie zrównoważą braku oryginalnych motywów. Kto nie ma nic nowego do powiedzenia, daremnie będzie sypał szumne słowa; kto nie ma nic nowego do wyśpiewania, daremnie będzie ukrywał pustkę swej duszy umiejętnemi i dowcipnemi figurami orkiestralnemi. Płody takiej twórczości utoną w niepamięci, jak utonęły wiersze układane

w kwadraty i trapezy. Moniuszko nie boi się tego losu.

Przy sposobności radzimy, ażeby łatwowierność dziennikarska przestała powtarzać za kimś bajdę o napisaniu poloneza z „Hrabiny“ podczas pierwszej próby. Ani to bowiem jest prawdziwe, ani możliwo, zważywszy, że samo przepisanie tego poloneza wymaga kilku godzin czasu.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

ASTRONOMIA. Dr. M. Ernst: „O końcu świata i kometach“ — z powodu przepowiedni końca świata na r. 1899 (98 str.). Lwów, Towarz. wyd.

SOCYOLOGIA. W Domański: „Wolność, równość, braterstwo,“ przekład z francuskiego (48 str.). Wende.

HISTORYA. Ks. D. B.: „Rys średniowiecznej oświaty“ (187 str.). Nakład autora.

— Gen. Puzyrewski: „Szarża jazdy pod Samo-Sierra w Hiszpanii,“ z ilustracyami i mapami (48 str.). Trepte.

POWIEŚĆ. E. Goncourt: „Bracia Zemgano“ (166 str.). *Gazeta Polska*.

— Autor „Szarego życia“: „Pamiętniki nowonarodzonego,“ studyum fantastyczne z ilustracyami B. Wiśniewskiego (171 str.). Sennewald.

— M. Twain: „Przygody Hucka,“ t. II. „Bibl. dz. wyb.“

WYDAWNICTWA OBRAZKOWE. „Album bijograficzne zasłużonych Polaków i Polek XIX w.,“ z. 5-ty.

— Portret Sienkiewicza, wyd. Niemczyński.

„ROCZNIK Sosnowiecki na r. 1899.“ Zawiera między innemi: Dział statystyczno - geologiczny; Dział handlowo-informacyjny; Dział literacko-naukowy: Piotr Chmielowski: „Emerson i Mickiewicz,“ Andrzej Niemojewski: „Prolog,“ „Ojciec,“ „Sosnowice i opinia publiczna“; M. Świeżyński: „Elektryczność na usługach przemysłu“; Dr. Jakób Neufeld: „Pierwsza pomoc w kopalniach“; Dr. Jakób Puterman: „O przyczynach częstego występowania gorączki połogowej w Sosnowcu“ — itd.

POEZYE

Tobie.

Cisza. — Na mych ramionach połóż ręce swoje,
Wpatrz mi się w oczy całą mocą twej źrenicy;
Jak na pobojowisku dwaj ostatni woje
Liczmy straty — przegranej bitwy bojownicy.
Myśmy z tobą nie byli jak szczęśliwych dwoje,
Jak wznoszący toasty uczty biesiadnicy:
Dłoń nasza spracowana, skroń zmarszczyły [znoje,
Usta spalił żar pragnień wiecznych i tęsknicy.
Oto już słońe nasze idzie do zachodu. —
Dziwnie tęskno... Czyż z nami utonie w niebycie
Tyle myśli i marzeń wyśnionych za młodu?
Czy myśmy się mylili? Czy zawiodło życie?
Tęskno — lecz czoła w górę! U końca zawodu
Dłoń w dłoń! — i stójmy dumnie, jak niegdyś [o świcie. —

Adam M—ski.

W DALI.

Kalisz. Rozwinięto zabiegi około założenia w Kaliszu instytucyi kredytowej, przystępnej dla wszystkich warstw ludności w mieście oraz wsiach okolicznych w promieniu 25 wiorst. Będzie to Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe, przyjmujące wkłady od 10 kop. Instytucya taka nia poprzestaje na udzielaniu pożyczek i przyjmowaniu oszczędności, lecz w razie potrzeby pośrednicy przy kupnie przedmiotów niezbędnych dla potrzeb gospodarstwa członków, tudzież przy sprzedaży ich wyrobów. Z tego powodu *Gazeta Kaliska* pisze: Rzemieślnik niemający wielkich zasobów o tyle może istnieć, o ile zrobiono u niego zamówienia. Jeżeli zaś będzie miał w towarzystwie mniejszy kredyt osobisty lub większy za poręczeniem albo na zastaw swych wyrobów, może zakupić więcej towaru i stopniowo rozwinąć swoją produkcyę; nie oglądając się już tylko na obstalunki, może pracować na wywóz i sprzedać swe wyroby z daleko większym dla siebie zyskiem. Dalej kupiec chcąc korzystać z odpowiedniej chwili i zakupić większą ilość towaru, nie będzie się kłopotał o pieniądze, bo dostanie w Towarzystwie, jako członek, odpowiednią kwotę bądź na zastaw towarów w sklepie, bądź za poręczeniem. Właściciel niewielkiego domu, niemający gotówki w zapasie, nie może go doprowadzić do potrzebnego porządku i dom jego z czasem dojdzie do zupełnej ruiny. Pięcioletnia pożyczka może postawić go na nogi, a pieniądze otrzymywane z dzierżawy porządnego już domu będą opłacać należne towarzystwu raty. Nakoniec ziemianin, rolnik w promieniu 25 wiorst od Kalisza, żądny na przednówku grosza, aby opłacić robociznę i zaspokoić inne potrzeby, stosowną pomoc także w towarzystwie znaleźć może. Wreszcie towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe może podtrzymać, a w okolicy stworzyć i podźwignąć zapoczątkowane przez akcyę przemysłu i handlu ludowego tkactwo domowe.

Kijów. Podolski syndykat rolniczy otwarty będzie dnia 3 grudnia r. b. Powstał on na zasadzie ogłoszonej niedawno ustawy normalnej dla spółek rolniczych; przysługuje mu prawo nietylko prowadzenia interesów handlowych, ale również i tych wszystkich, które wchodzą w zakres działalności towarzystw rolniczych. Na posiedzeniu w dniu 3 grudnia prócz spraw organizacyjnych rozpoznawane będą jeszcze następujące kwestye: 1) o ważniejszych potrzebach rolnictwa na terytoryum działalności syndykatu (cała gub. Podolska) i o sposobach ich zaspakajania; 2) o Towarzystwie wzajemnego ubezpieczania majątków ziemskich w kraju południowo-zachodnim oraz o jego znaczeniu dla członków towarzystwa; 3) o pszczelnictwie i jego znaczeniu dla rolnictwa w gub Podolskiej; 4) o ubezpieczaniu inwentarza roboczego; 5) o nowym systemie rolnictwa p. Owsińskiego. — W Kijowie zawiązało się, jak donoszą dzienniki miejscowe, Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń rolników gub. Kijowskiej, Wołyńskiej i Podolskiej. Do komitetu tej instytucyi powołano pp. hr. Tyszkiewicza, Renenkampfa, Piehno i Talberga.

Wilno. W korespondencyi z Witebska *Wilens. Wiestn.* donosi: „Dyrekcya szkół ludowych rozesłała zarządzającym zakładami naukowymi cyrkularz, w którym zawiadamia, iż na zasadzie rozporządzenia kuratora wileńskiego okręgu naukowego, w dzień odsłonięcia pomnika hr. Murawiewa w zakładach naukowych powinny być odprawione nabożeństwa żałobne, na których mają być obecni wszyscy uczniowie wyznania prawosławnego. Wieczorem zaś lub po obiedzie, mają być urządzone odczyty o działalności hr. Murawiewa. W szkołach żydowskich d. 20 listopada należy również uwolnić uczniów od zajęć i tego dnia przed obiadem mają być tam urządzone odczyty o działalności hr. Murawiewa ze śpiewami pieśni patryotycznych. Podobne odczyty o działalności hr. Murawiewa, z wyświetleniem jego znaczenia dla rozwoju pokojowego kraju, winny być urządzone w szkołach ludowych, ze składem uczniów wyznania nieprawosławnego.“ — Gazety ryskie donoszą, że z powodu mgieł gęstych na morzu Baltyckiem zaginęło w czasach ostatnich kilka parowców i statków żaglowych.

Petersburg. *Praw. Wiest.* na zasadzie sprawozdania nadprokuratora Najśw. Synodu, Pobiedonoscewa, za r. 1895, wskazuje wpływ mahometaństwa śród pogan obcokrajowców. Bardzo często i prawosławni obcokrajowcy poddają się propagandzie mahometańskiej, a jeszcze silniejszą jest ona u pogan. Powodzenie to sprawozdanie objaśnia bliską stycznością obcokrajowców z mahometanami i wspólnością interesów ekonomicznych, a poniekąd i zależnością ekonomiczną pierwszych od ostatnich. Ale to nie byłyby dostateczne przyczyny powodzenia mahometaństwa. Wyznawcy islamizmu nie szczędzą środków na budowanie meczetów i szkół, stanowiących główne przeciwdziałanie ku umocnieniu ochrzczonych obcokrajowców w prawosławiu. Muzułmanie w każdej wsi mają meczet, a czasem dwa i trzy, a prawosławni obcokrajowcy w większej części nie posiadają świątyń wcale.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Rozpoczęto budowę własnego domu Schroniska dla dzieci matek ubogich przy ul. Oboźnej w Warszawie. Kilka osób złożyło na ten cel pewną kwotę.

— Na posiedzeniu Towarzystwa opieki nad nieuleczalnymi w Warszawie poruszono między innemi następujące sprawy i szczegóły: Rozpoczęcie regularnych czynności w lecznicach dla przychodzących chorych przy ul. Wspólnej nr. 60, Piwnej nr. 13 i na Sewerynowie. Przyjęcie w lecznicach odbywają się trzy razy tygodniowo, między godz. 1 a 4 po południu. Bezpłatnych porad we wszelkich rodzajach chorób, z wydawaniem lekarstw bezpłatnych, udziela kilkunastu lekarzy, pomagają zaś w przyjęciach chorych stałe infirmerki i panie członkinie Towarzystwa. W przytułku (Królikarnia), pomimo niewykończenia niektórych robót, z przyczyn niezależnych od rady opiekuńczej, znalazło już pomieszczenie 15 chorych, a w tej liczbie sześcioro dzieci. Wkrótce cyfra chorych w przytułku dosięgnie ustanowionej normy 40, na taką bowiem liczbę pacyentów ułożono budżet zakładu, o ile starczą na to wpływy z ofiar dobroczynnych. Zarządzający lecznicą przy ul. Piwnej dr. Stanisław Markiewicz zwrócił się do rady opiekuńczej z wnioskiem kupna lub wystarania się o bezpłatne bony na ciepłą strawę i herbatę w kuchniach tanich Tow. przeciwżebraczego, do leczenia bowiem zgłasza się wielu nędzarzy, dla których większą pomocą bywa ciepła strawa, niż lekarstwo. Dzięki również zabiegom dr. Markiewicza, Tow. akcyjne łaźni i łazienek na Zjeździe wyraziło w zasadzie gotowość ustąpienia Towarzystwu liczby biletów do kąpieli za znacznie zniżoną cenę. Rada opiekuńcza postanowiła skutkiem tego zwrócić się do Towarzystwa łaźni z prośbą o przysłanie tych biletów, które w lecznicach Towarzystwa rozdawać będą lekarze ubogim chorym, według swego uznania. Fundusze Towarzystwa są tak szczupłe, że nie wystarczają na potrzeby najpilniejsze.

„Na inny manier.“ Istnieje przysłowie pachciarsko-faktorskie: „Ta sama sztuka na inny manier.“ Oby to przysłowie nie znalazło wkrótce poúczającego zastosowania w życiu! Oto do współzawodnictwa w dzierżawie tramwajów warszawskich między innymi powołano p. Kiślańskiego *w imieniu Towarzystwa belgijskiego*. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że Towarzystwo to zostanie nadal gospodarzem tramwajów—tylko „na inny manier.“ Znamy już wybornie tę gospodarkę, wiemy, jak ci panowie umieją, gwoli własnej kieszeni, lekceważyć interesy miasta i jego mieszkańców. Dlatego też szczerem jest naszem pragnieniem, ażeby ten *dobrze znany* współzawodnik nie utrzymał się nadal w zmienionym systemie eksploatacyi tramwajów.

Prasa. Minister spraw wewnętrznych rozkazał wstrzymać sprzedaż numerów pojedyńczych gazety *Narod* i zawiesić wydawnictwo gazety *Donskaja riecz* na osiem miesięcy, zabronić sprzedaży numerów pojedyńczych gazety *Nowoje Wremia*.

Podręczniki szkolne. Komisyę do oceny szkolnych podręczników polskich, istniejącą przy zarządzie warszawskiego okręgu naukowego, której powierzono obecnie sprawę kwalifikacyi książek do czytelni ludowych, składają pp.: Adamczewski, nauczyciel języka polskiego w gimnazyum praskiem; Eufim Karskij, zwyczajny profesor uniwersytetu warszawskiego; Bazyli Szimanowskij, nauczyciel IV gimnazyum męzkiego; Grzegorz Eljanow, profesor zwyczajny uniwersytetu, oraz Teodor Wierzbowski, profesor zwyczajny uniwersytetu warszawskiego. Przewodniczącym jest pomocnik kuratora okręgu

naukowego warszawskiego, rz. r. st. Dobrowolskij. Ta właśnie komisya decyduje także o ostatecznym układzie pierwszej seryi katalogu normalnego książek dla czytelni ludowych w Królestwie Polskiem. (*Kur. Warsz.*).

Szkoły. W uniwersytecie warszawskim bakteryologia, wykładana dotychczas dodatkowo przy patologii ogólnej, staje się nadal obowiązkową.

— Rady pedagogiczne gimnazyów żeńskich większością głosów uznały potrzebę zniesienia egzaminów przejściowych i zastąpienia ich repetycyami.

— W Petersburgu powstają kursy farmaceutyczne dla kobiet.

— W ciągu r. 1897 i 1898 otwarto w okręgu naukowym warszawskim 36 oddziałów równoległych przy gimnazyach i progimnazyach głównie męzkich, tudzież przy szkołach realnych.

Ofiara. Za pośrednictwem dr. Tadeusza Kowalskiego, prezesa sekcyi rolnej, ktoś bezimiennie złożył 9,000 rb. na rzecz przyszłej kasy oficyalistów wiejskich. Ułatwia to znacznie wprowadzenie w czyn projektów zabezpieczenia bytu tych licznych rzesz ludzi bez jutra.

Stypendya. Ministeryum oświaty zatwierdziło świeżo następujące zapisy stypendyalne: 1) Juliana Zubkowicza 5,000 rb. na stypendya dla uczniów II gimnazyum w Kijowie, Polaków i katolików z wyboru kandydatów przez wykonawców testamentu Rakowskiego, Polańskiego i adw. przys. Jakoszewskiego, a po ich śmierci — rady pedagogicznej gimnazyum; 2) dr. Antoniego Sereniewskiego 10,000 rb. na dwa stypendya po 175 rb. dla krewnych zapisodawcy, katolików, uczniów gimnazyum w Kownie, z wyboru wykonawcy testamentu, p. Stanisława Jastrzębskiego w Rossieniach, a po śmierci jego — marszałka szlachty pow. Grodzieńskiego i za zgodą marszałka rosieńskiego. W razie zaś zwinięcia gimnazyum w Kownie, fundusz przenosi się do innego gimnazyum na warunkach wyszczególnionych w testamencie i 3) 3,000 rb. na stypendyum imienia b. prezydenta m. Łodzi — Rossieckiego, dla jego krewnych, lub w braku ich dla synów ubogich mieszkańców Łodzi, uczniów gimnazyum miejscowego.

Katastrofa. Ze Lwowa donoszą, iż pociąg towarowy, idący (w nocy z 13 na 14 b. m.) z Czerniowiec do Stanisławowa, z powodu gęstej mgły zetknął się pod Markowcami z lwowskim pociągiem osobowym. Dwaj konduktorowie zabici. Jeden podróżny ma złamaną nogę, konduktor pocztowy i pasażerka pokaleczeni.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 6 Ноября 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.